

Pinokio 2.0

Książka dla dzieci w wieku 10 - 14 lat

Nazywam się Dawid

... mam jedenaście lat i ciągle pakuję się w kłopoty. Podam przykład: Kiedyś podczas przerwy Mateusz z Marcinem zaprowadzili mnie na najwyższe piętro w szkole, tam, gdzie lekcje mają ósmoklasiści, i pokazali mi wysokiego chłopaka z białymi włosami. Poprosili, żebym kopnął go w tyłek. Dlaczego? - zdziwiłem się. A na to Marcin, że ten chłopak ciągle im dokucza i że wybrali mnie żebym to zrobił, bo jestem najodważniejszy w klasie. Poczulem dumę i nie mogłem odmówić. Faktycznie takie coś wymagało odwagi, bo ten blondyn z ósmej klasy był dużo większy ode mnie. Zresztą, nawet w piątej klasie wszyscy są więksi ode mnie, a co dopiero w ósmej. Tak czy inaczej wyczekałem na odpowiedni moment i kopnąłem tego dryblasa w tyłek, po czym uciekłem.

Zbiegłem schodami na pierwsze piętro i na wszelki wypadek resztę przerwy przeczekałem ukryty w ubikacji. Później koledzy gratulowali mi dobrej roboty i poklepywali mnie po plecach, a ja znowu pęczniałem z dumy, do momentu aż na kolejnej przerwie podeszła do mnie Daria (taka koleżanka z klasy) i zerkając na boki czy nikt nas nie podsłuchuje, syknęła ze złością:

- Z czego się tak cieszysz? Oni nabijają się z ciebie!

- Nie wiem o co ci chodzi - odpowiedziałem.

- Nie wiesz, bo jesteś głupi!

Zrobiło mi się trochę nieswojo, bo sytuacja zaczęła przypominać coś dziwnie znajomego, coś, co być może już kiedyś mi się przytrafiło. A Daria, zdenerwowana, wyrzuciła z siebie:

- Bawię się twoim kosztem. Teraz tamten chłopak cię szuka, a oni śmieją się za twoimi plecami i będą się śmiać jeszcze bardziej, kiedy cię dopadnie.

Nic z tego nie rozumiałem. Dlaczego moi koledzy z klasy mieli by robić coś takiego? Przecież nie zrobiłem im nic złego.

A Daria dodała jeszcze:

- Kiedy w końcu przestaniesz pozwalać sobą pomiatać?!

I odeszła. Wyglądała na zdenerwowaną, przez co poczułem się jeszcze bardziej zdezorientowany. Jej przecież też nic nie zrobiłem, więc czemu się złości?

Niestety Daria miała rację. Ten z białymi włosami zjawił się na tej samej przerwie i zdążył mnie trochę poturbować, zanim z odsieczą przybyli nauczyciele. Próbowałem z nim walczyć, ale jak już wspomniałem, był dużo większy ode mnie. Mimo wszystko moja bezradność w tym starciu niemiło mnie zaskoczyła. Wyobrażałem sobie, że zasypię go ciosami i zmuszę do odwrotu, ale ręce miałem jak z waty. Najgorsze jednak, że Mateusz, Marcin i inni stali tylko i śmiali się ze mnie. A kiedy zaprowadzono mnie i blondasa do dyrektorki, to ja zostałem uznany głównym winowajcą. No bo w końcu to ja pierwszy kopnąłem tego chłopaka.

To właśnie mam na myśli mówiąc, że ciągle pakuję się w kłopoty.

Na szczęście tamta historia wydarzyła się w mojej poprzedniej szkole, w innym mieście. Teraz, po przeprowadzce, kiedy skończą się wakacje, pójdę do nowej szkoły i będę miał nowych kolegów. I nowe kłopoty. Już to przerabiałem.

Najczęściej chcę dobrze, ale wychodzi mi źle. Tata, kiedy jeszcze z nami mieszkał, czytał mi czasem książki i jedna z nich opowiadała o takim pajacyku, który nazywał się Pinokio. Ten Pinokio też zawsze chciał dobrze, ale wychodziło mu źle. Ciągłe obiecywał sobie, swojemu tacie i dobrej wróżce, że się poprawi, a potem i tak pakował się w jakieś tarapaty. Zupełnie jak ja. Tata czasem czochrał mi dłonią włosy, mówiąc przy tym żartobliwym tonem: mój biedny, mały Pinokio! Mama zaprotestowała kiedyś, że nie mogę być Pinokiem, ponieważ w przeciwieństwie do niego nigdy nie kłamię. Na co tata odparł: Bo to jest nowy, ulepszony Pinokio. Nigdy nie kłamię, bo nie lubi jak wydłuża mu się nos!

Zgadza się: nigdy nie kłamię. Po co miałbym mówić coś, o czym wiem, że nie jest prawdą? Przecież to nielogiczne.

Daria powiedziała, że jestem głupi. Spytałem mamę, czy to dlatego bez przerwy mam kłopoty? Mama odparła, że nie jestem głupi, tylko mam Zespół Aspergera. Tłumaczyła mi, że różnię się od innych dzieci, ale to nic złego. Nie jestem gorszy ani lepszy, tylko inny. I że wielu ludzi, sławnych, bogatych, sportowców, artystów, wynalazców i tak dalej, też miało ten cały Zespół, a mimo to dokonali wielkich rzeczy. Ale moi koledzy nie mają tyłu kłopotów co ja na każdym kroku, więc może Zespół Aspergera to tylko takie grzeczne określenie na kogoś, kto jest głupi?

Przez to wszystko sam już nie wiem, czy jestem odważny, czy tchórzliwy. Nie boję się prawie niczego i jednocześnie boję się prawie wszystkiego. Na przykład nie boję się kopnąć większego chłopaka w tyłek, a boję się muchy. Albo samemu przejść przez jezdnię. Słyszałem gdzieś, że to się nazywa paradoks. Kiedy na przykład coś jest jednocześnie okrągłe i kwadratowe, albo małe i duże, to jest to paradoks.

Mama mówi, że jak byłem całkiem mały, to nie bałem się zupełnie niczego, przez co nieustannie znajdowałem się w niebezpieczeństwie. Wspinałem się na meble. Skakałem z łóżka na podłogę. Albo spadałem z niego, bo podczas dzikich harców potykałem się o poduszkę. Ledwie nauczyłem się stać, a już wymykałem się z łóżeczka, pokonując po drodze ogrodzenie z drewnianych szczebelków sprawnie niczym włamywacz. Skakałem ze schodów. Skakałem z huśtawki. W trakcie spacerów wybiegałem zniemacka na jezdnię, więc rodzice nauczyli się trzymać mnie mocno za rękę. I nieustannie przestrzegali mnie przed czyhającymi zewsząd niebezpieczeństwami. W ten sposób nauczyłem się bać niemal wszystkiego.

A kiedy czasem udaje mi się zapomnieć, że powinienem się bać, wtedy zaraz pakuję się w kłopoty.

Wychodzę sam z domu

To nowe miasto jest całkiem fajne. Nie za duże, pełno tu zieleni i różnych zakamarków, a naokoło są wzgórza i lasy, które po zmroku robią się trochę straszne. Czasem, kiedy jest już ciemno, obserwuję je przez okno naszego mieszkania. Mam wtedy wrażenie, że przysuwają się bliżej miasta i rosną. Na wzgórzach stoi kilka domów i kiedy ich mieszkańcy zapalają światła, wzgórzom otwierają się żółte ślepia. To akurat nie jest fajne i często mam potem koszmary. Ale w dzień nawet te wzgórza mi nie przeszkadzają. Są bardzo zielone, a zieleń to mój ulubiony kolor.

Jeszcze do niedawna w ogóle nie wychodziłem sam z domu. Nigdy, ani raz, nawet na chwilę. Zawsze z tatą albo z mamą. Nie przeszkadza mi to. Boję się wychodzić sam. Kiedy jestem sam, może mnie przejechać samochód albo porwie mnie porywacz dzieci. Ale taty już z nami nie ma, a mama sama nie daje rady, więc niedawno powiedziała, że jestem już duży i muszę być bardziej samodzielny. Od tej pory czasem zostaję w domu sam. Mama idzie do pracy i

zamyka drzwi na klucz, żeby nikt obcy nie mógł wejść do naszego mieszkania. Wiem, że mam trzymać się z daleka od gniazdek elektrycznych i kuchenki gazowej. Mama przeważnie zostawia mi coś do jedzenia, ale w razie czego umiem sam zrobić sobie kanapkę z szynką i serem. Bywa, że czuję się trochę nieswojo, ale mam swoje zajęcia i czas szybko mi leci.

Mama postanowiła jednak podnieść poprzeczkę wyżej. Jest lato, często świeci słońce, więc jej zdaniem powinienem więcej czasu spędzać na świeżym powietrzu. Dlatego pewnego dnia wręczyła mi klucz od mieszkania przymocowany do niebieskiej wstążki, żebym mógł zawiesić go sobie na szyi.

- Możesz teraz wychodzić z domu kiedy zechcesz - oznajmiła. - Musisz tylko pamiętać, żeby zamknąć drzwi na klucz.

Nie bardzo wiedziałem dokąd miałbym iść. Widząc moją minę, mama powiedziała:

- Idź za blok, pobaw się na trawniku albo posiedź sobie na ławce. Po osiedlu kręci się wiele dzieci w twoim wieku, a nawet młodszych. Nie bój się, wokół jest pełno ludzi, nikt cię nie skrzywdzi. Ja nigdzie się dzisiaj nie wybieram, zostaję w domu, będę zerkała na ciebie z balkonu.

- Poglaskała mnie po twarzy. - Synku... Ten ogromny świat za oknem należy do ciebie. Nie możesz przeżyć całego życia w domu.

To było dość dziwne, bo mówiąc te słowa uśmiechała się, a jednocześnie w oczach miała łzy. Zrobiło mi się nieswojo, ale wiedziałem, że mama nigdy nie robi niczego co dla mnie niedobre, więc pokiwałem głową, wziąłem od niej klucz i wyszedłem.

W drzwiach zatrzymała mnie na moment.

- Zamknij drzwi na klucz - powiedziała. - Na próbę, żeby sprawdzić czy umiesz. I żeby wyrobił ci się taki nawyk.

Kilka razy przekręciłem klucz w zamku, na przemian to zamykając, to otwierając drzwi.

- Brawo. - Mama uśmiechnęła się do mnie, kiedy zakończyliśmy ten mały test. - Zamykaj drzwi zawsze, kiedy wychodzisz.

I tak pierwszy raz w życiu zszedłem po schodach sam. Stałem przed blokiem i rozejrzałem się po „ogromnym świecie”, który z jakiegoś powodu rzekomo należy do mnie, choć jestem niewiele większy od wyrosniętego psa. Osiedle skąpane było w żółtych i błękitnych plamach słonecznego światła i cienia. Po niebie płynęły obłoki, gdzieś niedaleko śpiewały ptaki. Nigdzie poblizu nie dostrzegłem ludzi, tylko parę nieruchomych samochodów na parkingu. Ostrożnie okrążyłem blok, czując się jak kosmonauta stawiający pierwsze kroki na nieznanym planecie. Kiedy znalazłem się pod naszym balkonem, podniosłem głowę i wysoko w górze ujrzałem mamę. Stała na balkonie i uśmiechała się do mnie.

To był mój pierwszy raz. Dzisiaj jest drugi, tyle że tym razem mamy nie ma w pobliżu. Pracuje na drugą zmianę w takiej fabryce, gdzie robi się małe płytki z różnymi elektronicznymi szlaczkami, dzięki którym działa na przykład smartfon albo radio. Przed wyjściem powiedziała mi, żebym bez obaw wyszedł jeśli będę miał ochotę, mam tylko zamknąć drzwi na klucz, trzymać się blisko bloku i pod żadnym pozorem nie wychodzić na jezdnię. Nasza sąsiadka, starsza pani, która nazywa się Midas czy jakoś tak, będzie mieć na mnie oko.

- Mieszka tuż obok za ścianą, zajrzy do ciebie później. Wieczorem zrób sobie kanapkę i zażyj lekarstwa, są w plastikowym pojemniczku na kredensie. I połóż się spać o przyzwoitej porze. Wrócę po dwudziestą drugą.

Mama miała na myśli lekarstwo na alergię, bo jestem uczulony na pyłki bylicy (to taki chwast) oraz lekarstwa na Zespół Aspergera, które zażywam codziennie rano i wieczorem. Chociaż tak naprawdę one niczego nie leczą, bo Zespół Aspergera to nie jest choroba. Więc w sumie nie wiem po co je zażywam.

Mama ponownie wręczyła mi klucz na niebieskiej tasiemce. Zahaczyłem ją o palec i zakręciłem parę razy w powietrzu kluczem jak małą karuzelą.

- Lepiej tak nie rób - powiedziała mama. - Jak wyjdiesz z mieszkania, zamknij drzwi i zawieś klucz na szyi. Pilnuj go jak oka w głowie.

Po wyjściu mamy dokończyłem jeść obiad, posiedziałem chwilę w domu i postanowiłem zejść na dół. Serce biło mi mocniej niż zwykle. Teraz byłem naprawdę sam. Kiedy podniosę głowę, zobaczę tylko pusty balkon. Ściskałem klucz mocno w dłoni, jak jakiś magiczny talizman mający chronić mnie przed nieszczęściem. Wychodząc, z jakiegoś powodu nagle przypomniałem sobie tatę. Kiedyś spytałem mamę, dlaczego taty nie ma już z nami. Powiedziała coś w stylu, że tata musi odnaleźć siebie. Zabrzmiało to dość dziwnie. Zapytałem, czy to znaczy, że tata się zgubił.

- Można tak powiedzieć - odparła. Minę miała taką, jakby zjadła coś bardzo gorzkiego.

Skoro mój tata się zgubił, a przecież on jest dorosły, duży, silny i na dodatek nie ma Zespołu Aspergera, to jak niby ja mam sobie poradzić?

Z głową pełną niewesołych myśli zszedłem po schodach i ponownie wkroczyłem w objęcia ogromnego świata.

Przekraczam ulicę

Przez jakiś czas bawiłem się na trawniku za blokiem. To całkiem duży trawnik, otoczony żywopłotem, rośnie na nim sporo drzew i krzewów. Na osiedlu jest kilka takich trawników oddzielonych alejkami. Wygląda to trochę jak park.

Udało mi się dostrzec kilka motyli: bielinka kapustnika, dwa cytrynki i mieniaka strużnika. Ten ostatni szczególnie mnie ucieszył, bo dotąd widywałem go tylko w książkach i na zdjęciach w Internecie. Nic dziwnego, bo zdecydowanie łatwiej spotkać go w lesie, niż na osiedlowym trawniku. Ale od motyli i tak wolę chrząszcze. Wypatrzyłem ogrodnicę niszczylistkę, grzebyczaka żółtawego i biedronkę, a potem na pniu wierzby jeszcze rynnicę topolową, czerwoną niczym rubin.

Owady to moja pasja. Mama kupiła mi książkę, w której są ich setki, a może nawet tysiące. Ta książka ma ponad pięćset stron i prawie na każdej są narysowane owady. Przeglądam ją codziennie - to dlatego wiem, jak się nazywa większość z nich. Mama mówi, że mam świetną pamięć. Tylko że ta moja pamięć tak dziwnie działa, że zapamiętuję głównie to, co mnie interesuje, a to, czego uczymy się w szkole, jakoś nie chce mi się utrzymać w głowie.

Owady są niesamowite. Mają najprzeróżniejsze kształty i są kolorowe jak klejnoty. Miałem kolegów, których interesowali kosmici, ale żaden nie interesował się owadami, co mnie niezmiernie dziwi. Owszem, stwory z filmów science-fiction potrafią wyglądać zadziwiająco, ale i tak nie umywają się do owadów. Poza tym na świecie żyje ponad kwadrylion owadów, a więc na jednego człowieka przypada ich około dwieście milionów. A jaką masz szansę spotkać kosmitę?

Z tego samego powodu odpuściłem sobie dinozaury. One są równie fascynujące, ale żadnego nie spotkasz na spacerze (może to i lepiej, bo któryś mógłby cię pożreć). Na razie dałem sobie spokój także z bakteriami, przynajmniej do czasu, aż kupię sobie mikroskop. A owady są wszędzie, żyją wśród nas i niewiele trzeba, żeby je obserwować - przeważnie wystarczy pochylić się nad kępką trawy albo unieść dowolny kamień. Po każdym spacerze zapisuję w specjalnym zeszytcie nazwy tych owadów, które spotkałem. Jeśli jakiegoś nie znam, przeszukuję moją książkę, a czasem Internet, jeśli mama pożyczycy mi swojego laptopa.

Przed owadami moją pasją na krótko były dinozaury. A wcześniej piłkarze - znałem setki piłkarzy i wiedziałem w jakim klubie gra i na jakiej pozycji. Przed piłkarzami interesowały mnie postacie z gry Brawl Stars. Znałem imiona wszystkich Zadymiarzy: El Primo, Barley, Nita, Leon... Już nie pamiętam - wywietrzały mi z głowy zaraz, jak tylko zacząłem interesować się piłkarzami. Jeszcze wcześniej znałem na pamięć wszystkich zawodników z serialu animowanego Inazuma Eleven (to też byli piłkarze, ale nieprawdziwi). A przed nimi moim konikiem były postacie z filmu Auta: Zygzak McQueen, Złomek, Strip Zawierucha, Ogórek, Mietek Palsprzęgło, Kamasz i dziesiątki innych. Rodzice kupowali mi metalowe modele tych aut. A wcześniej interesowały mnie wyłącznie cyferki oraz liczby, które można z nich ułożyć. Miałem mnóstwo plastikowych cyferek, a w każdej był magnesik, dzięki któremu można było przyklejać je do specjalnej tablicy. Nieustannie je układałem na wszelkie możliwe sposoby, a kiedy nie miałem ich przy sobie, układałem je w głowie. Potrafiłem obliczać w pamięci rozmaite działania, na przykład w dowolnym momencie roku umiałem powiedzieć ile godzin zostało do szóstego grudnia, kiedy święty Mikołaj przynosi prezenty. Wprawiało to moich rodziców w zdumienie, a dla mnie to była łatwizna. Nadal to potrafię, ale teraz takie obliczenie zajmuje mi więcej czasu, bo prawie nie myślę już o cyferkach.

Dostrzegłem nieopodal osę i przezornie oddaliłem się w przeciwny kąt trawnika. Odruchowo zerknąłem na nasz balkon: mamy oczywiście na nim nie było. Pani Midasowa (czy jakoś tak), która miała „mieć na mnie oko”, przebywała w sobie tylko znanym miejscu - a przynajmniej nie widziałem jej nigdzie w pobliżu. W ogóle było dosyć pusto i jakoś sennie, czasem tylko przejechał samochód albo chodnikiem przemaszerował samotny przechodzień.

Przed cyferkami moją pasją był angielski alfabet. Nauczyłem się go z takiej piosenki, którą słyszałem w telewizji. Nauczyłem się też całkiem sporo angielskich słówek. Może dlatego mam teraz dobre oceny z języka angielskiego w szkole i pani mówi, że wyprzedzam program. Przed angielskim alfabetem fascynowały mnie rosyjskie litery. Chyba z tego powodu, że są zupełnie inne niż nasze, polskie, a mnie pociąga wszystko co inne i dziwne. Pewnie przez to, że sam jestem inny i dziwny. Przynajmniej tak uważali moi koledzy ze szkoły, do której chodziłem zanim przeprowadziliśmy się z mamą tutaj. Nauczyłem się wszystkich rosyjskich liter. A przed rosyjskimi literami moją pasją były litery polskie. Dlatego nauczyłem się czytać i pisać kiedy miałem trzy lata i sześć miesięcy. Przed polskimi literami nie miałem żadnej pasji, bo byłem za mały i umiałem tylko płakać i robić kupę do pieluchy.

W tym momencie zza bloku wypadł pies i jak wariat pognął w moją stronę. Choć nie był zbyt duży, jego widok napędził mi nie lada stracha. Wrzasnąłem przerażony i podjąłem bezskuteczną próbę wspięcia się na pień wierzby w tempie, które przystoi raczej wiewiórcze. Ale zwierzak nie był mną zainteresowany: futrzasta kulka minęła mnie niczym pocisk wystrzelony z armaty i zniknęła na moment w zaroślach, by po chwili ukazać się ponownie w całej okazałości, tym razem po drugiej stronie pasa zieleni. Pies przeciął jezdnię i wpadł między garaże, gdzie zniknął mi z oczu po raz drugi, tym razem na dobre.

Rozejrzałem się w panice, oczekując, że zaraz ujrzę coś, co zmusiło zwierzę do ucieczki - jakiegoś straszliwego potwora podążającego w ślad za nim, bo go pożreć (na przykład dinozaura) - jednak nic takiego się nie pojawiło. Było cicho i sennie jak wcześniej.

Uznałem, że na razie wystarczy mi mocnych wrażeń i pora wracać do domu. Zapiszę w zeszycie nazwy owadów które widziałem i przy okazji może coś przekąszę. Sięgnąłem do szyi po klucz.

Klucza nie było.

Poczułem się, jakbym połknął kostkę lodu. Po prostu mnie zmroziło, choć dzień był pogodny, niemal upalny. Jak to możliwe, że go zgubiłem? Pewnie tasiemka się urwała, kiedy

próbowałem wdrapać się na wierzbę. Zacząłem szukać zguby w okolicach drzewa, ale znalazłem tylko kolejną biedronkę, więc krok po kroku obszedłem cały trawnik, wpatrując się uważnie pod nogi. Bezskutecznie.

Byłem załamany. Mama powiedziała, że bym pilnował go jak oka w głowie. Ładnie bym wyglądał, gdybym tak pilnował swoich oczu!

Ale zaraz... Przecież klucz nie wyparował. Skoro nie wychodziłem poza trawnik, a na trawniku go nie ma, to logiczne jest, że ktoś go musiał zabrać.

A nie było tu nikogo poza mną i... psem.

Przywołałem z pamięci wizerunek puchatej kulki pędzącej przez trawnik. Im dłużej o tym myślałem, tym większej nabierałem pewności, że zwierzak niósł coś w pysku. Coś, co błyszczało metalicznie w słońcu. I po chwili właściwie mogłbym się założyć, że przed oczami mignęło mi coś niebieskiego jak wstążka, na której nosiłem klucz.

Pies popędził za garaże. Problem w tym, że zdążyłem się już zorientować, iż rząd garaży ciągnący się wzdłuż południowej strony osiedla, stanowi symboliczną granicę między światem cywilizowanym, a dziczą. Za garażami rosły drzewa, ale nie takie jak na trawniku za blokiem, tylko drzewa-giganty, wyższe niż cały blok. Rosły też gęste zarośla. Patrząc z okna, widziałem czasem pomiędzy listowiem dziwnych ludzi. Siedzieli w krzakach, schowani w cieniu. Słyszałem ich chrapliwe głosy, które brzmiały okropnie nawet kiedy się śmiali. Czasem wyłaniali się zza garaży i zmięrzali ku cywilizacji, a ich chód przypominał sposób, w jaki poruszają się żywe trupy w filmach o zombie. A dalej było jeszcze więcej drzew i łąka, na której mogło żyć coś, o czym nawet wołałem nie myśleć, a potem wzgórze, którym po zmierzchu otwierały się żółte gnomie ślepie.

Mimo to walczyłem z sobą: Nie chciałem wracać do domu bez klucza. Pomijam już nawet fakt, że bez klucza nie mogłem wrócić do domu, bo nie miałem jak otworzyć drzwi. Ale przede wszystkim dręczyła mnie myśl, że zawiodłem mamę. Postanowiłem, że spróbuję odszukać psa.

Ominąłem żywoplot i stanąłem na drżących nogach na chodniku, niemal na skraju jezdni. To była wąska osiedlowa uliczka, rzadko uczęszczana, ale i tak serce waliło mi w piersiach niczym dzwon. Jezdnia kojarzyła mi się z niebezpieczeństwem. Rozejrzałem się na boki: Nie dostrzegłem w pobliżu żadnego auta, ale nadal nie miałem pewności, czy powinienem przejść na drugą stronę. W końcu tyle już razy wydawało mi się, że jestem bezpieczny, a i tak przytrafiało mi się coś niedobrego! Tyle razy robiłem coś, co uważałem za słuszne, a wychodziło na to, że się myliłem...

Pomyślałem o psie, który gdzieś tam oddała się z moim kluczem w zębach. Wziąłem głęboki oddech, jeszcze raz rzuciłem szybkie spojrzenie na boki i - choć rodzice powtarzali, że bym nigdy pod żadnym pozorem nie wybiegał na ulicę - najszybciej jak potrafiłem przebiegłem na drugą stronę jezdni.

Spotykam tubylców

Czułem się przez parę chwil, jakbym pokonał rwącą rzekę po moście sznurowym. Kiedy uspokoił mi się oddech, zacząłem rozmyślać nad kolejnym wyzwaniem. Czekał na mnie półmrok pod baldachimem liści zwieszających się nisko nad dzikimi bezdrożami rozpoczynającymi się za linią garaży. Próbowałem przebić wzrokiem ów półmrok, by przygotować się jakoś na to, co mnie tam czeka, ale widziałem tylko niekończące się zarośla. Gdzieś tam był mój klucz.

Znowu dopadły mnie rozterki. Może powinienem zawrócić? Naraz zza garaży wyłonił się ciemnowłosy chłopak, na oko trochę starszy ode mnie, szczupły jak ja ale znacznie wyższy, w

okularach na nosie. Jego widok podniósł mnie nieco na duchu. A więc ktoś tam się zapuścił i zdołał wrócić w jednym kawałku. Pociuszające.

- Hej... - zagadnąłem. Nie lubię zaczepiać obcych, więc głos mi się trochę łamał, aż musiałem odchrząknąć. - Nie widziałeś tam gdzieś psa z kluczem w pysku?

Przyjrzał mi się z taką uwagą, z jaką czasem spoglądam na owada, którego jeszcze dotąd nie widziałem. Wyjął z tylnej kieszeni spodni notes i coś w nim zapisał.

- Nie. - Pokręcił głową.

- A... w ogóle jakiegoś psa?

- Nie. - Podrapał się po czole. - Dlaczego pies miałby mieć klucz w pysku?

- Ukradł mi go.

- Aha. No to nie zazdroścę ci.

Serce zabiło mi mocniej.

- Dlaczego?...

Wzruszył ramionami.

- Bo pies ukradł ci klucz.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, trawiąc nawzajem nasze słowa.

- Długo tu stoisz? - spytał wreszcie chłopak.

- Niezbyt długo, a co?

- Nie przechodził tędy starszy facet, z siwymi włosami do ramion?

- Nie widziałem nikogo oprócz psa.

- Rozumiem. - Znowu coś zapisał.

- Czy tam... - Ruchem głowy wskazałem przestrzeń między garażami. - Czy tam... jest bezpiecznie?

W jego oczach zamigotało rozbawienie.

- Nie ma tam niczego, z czym nie dałbyś sobie rady - powiedział chłodnym tonem. - Nigdy tam nie byłeś?

- Nie.

- I teraz pewnie wybierasz się na poszukiwanie tego swojego psa?

- To nie mój pies - sprecyzowałem. - Mój jest tylko klucz.

- No to ruszaj w drogę, Bilbo. - Pomachał mi dłonią na pożegnanie. - Powodzenia.

Wyminął mnie, krocząc w stronę bloku.

- Co to jest bilbo? - rzuciłem za nim. Obejrzał się przez ramię.

- Nie co, lecz kto. Bilbo Baggins, hobbit. - Nim zdążyłem mu uświadomić, że nie mam bladego pojęcia o czym mówi, zniknął za węglem, zostawiając mnie z kompletnym mętlikiem w głowie.

Zrobiłem ostrożny krok naprzód. I jeszcze jeden. I kolejny. Z wolna otulał mnie przyjemnie chłodny cień, w miarę jak zagłębiałem się w jego zielonkawą toń. Na plecach czułem dotyk słonecznych promieni, który zgasł, kiedy minąłem linię garaży. Stałem na wąskiej ścieżce wydeptanej w trawie. Równoległe do niej biegł niski murek; wyrastało z niego metalowe ogrodzenie pełne ubytków. W trawie wałało się mnóstwo szkielec z rozbitych butelek, samych butelek też trochę tam było, zarówno szklanych, jak i plastikowych. Znalazłem dziurę w ogrodzeniu, wystarczająco dużą, bym się w niej zmieścił, i przeszedłem na drugą stronę. Panowała cisza, czasem tylko gdzieś w górze odezwał się ptak. Każdy mój krok wydawał się nienaturalnie głośny. Z oddali dobiegł mnie dźwięk samochodowego klaksonu - zabrzmiał jak odgłos z innego świata.

Po kilkudziesięciu krokach zarośla się przerzedziły i ujrzałem przezierający przez trawę i mech beton, spękany, pełen szczelin, z których wyrastały chwasty. Nieopodal strzelały w górę

dwa metalowe, porzewiałe maszty. Przywiodły mi na myśl okręt tonący w betonowym morzu, ale to musiały być po prostu słupki do zawieszania siatki, a zapuszczony placyk był niegdyś boiskiem do siatkówki. Także tutaj liczne szkła z rozbitych butelek migotały w prześwitujących przez listowie słonecznych smugach niczym drogocenne kryształy. Nieco dalej natknąłem się na kolejne boisko, tym razem do tenisa, o czym świadczyły dwa kolejne „maszty”, znacznie krótsze od poprzednich. Obok wznosiła się pojedyncza ściana opleciona bluszczem, wokół której wałał się gruz - pozostałość po jakimś budynku.

Nie było ani śladu psa. Moją uwagę przykuł za to owad, który przysiadł na łodydze jakiejś rośliny. Przykucnąłem ostrożnie, aby go nie spłoszyć i przyjrzałem mu się z bliska. Doszedłem do wniosku, że to najprawdopodobniej pienik olchowiec. Czytałem kiedyś, że niektóre pienikowate potrafią oddać skok długi na siedemdziesiąt centymetrów. Biorąc pod uwagę wielkość ich ciała to tak, jakby człowiek skoczył na odległość stu osiemdziesięciu metrów!

- Nie ruszaj się! - usłyszałem nagle natarczywy głos. Słowa dobiegły zniecka z za moich pleców i oczywiście wystraszyłem się śmiertelnie, a co za tym idzie podskoczyłem gwałtownie. Pienik też podskoczył - oddał imponujący skok i zniknął w trawie.

- Do diabła! - warknął niespodziewany gość. - Mówiłem ci, żebyś się nie ruszał!

Obejrzałem się i ujrzałem krępego blondyna, mniej więcej w moim wieku. Stał może dwa kroki ode mnie ze srogim wyrazem twarzy. W dłoni trzymał pusty słoik bez wieczka.

- Spłoszyłeś mi zwierzyne! - burczał pod nosem.

- Chodzi ci o... tego owada? - domyśliłem się. Pokiwał głową. Ucieszyłem się. - Obserwujesz owady?

- No pewnie. Razem z kumplami.

- Ja też! Mogę poobserwować z wami? Przepraszam za tego tam...

Machnął dłonią.

- Nieważne. Znajdę innego. Pełno tutaj robali.

Później powiedział, że nazywa się Maciek i razem złapaliśmy kilka owadów do słoika. Ja nigdy ich nie łapię, tylko się im przyglądam, ale Maciek przekonał mnie, że to konieczne. Następnie poszliśmy razem, omijając gruzowisko, aż do niewielkiego zagajnika u stóp wzgórza. Nieco wyżej, pomiędzy gałęziami drzew widać było fragment domu - kawałek białej ściany i okno, a nad nim czerwone dachówki.

- Tam mieszka Wrzaskun - rzekł Maciek, obniżając głos. - Musimy być cicho.

- Kto to jest Wrzaskun? - spytałem szeptem, czując nieprzyjemne mrowienie na karku.

- Straszny typ. Wolałbyś go nie spotkać.

- Kogoś tu przyprowadził?! - spytał Maćka zaczepnym tonem pucułowaty brunet, wyższy ode mnie co najmniej o głowę. Miał szerokie ramiona, a każda z jego rąk była tak gruba, jak moje dwie. On i jeszcze jeden chłopak, tyczkowaty, z odstającymi uszami wielkimi jak liście łopianu, siedzieli w zagajniku przed niewielkim szałasem z gałęzi.

Ratuję świat i poznaję Wrzaskuna

- Nazywa się Dawid - przedstawił mnie Maciek. - Będzie z nami obserwował robale.

- A na co nam?

- Daj spokój, Dziura. Jest w porządku, pomógł mi łapać robale.

Ten nazwany Dziurą patrzył na mnie wrogo, ale ostatecznie posłuchał kolegi i dał spokój. Pokazał mi plastikowe wiadro wypełnione w połowie wodą. W wiadrze był spory kamień, wystający nad powierzchnię niczym wyspa, a także kilka patyków.

- Przyjrzyj się - rzekł do mnie. - W środku są robale. Wrzucamy je tam, żeby walczyły o przetrwanie. Przeżyje tylko jeden. W nagrodę wypuścimy go na wolność.

Słuchałem go w osłupieniu, zaglądając do wiadra. Ujrzałem kilka mrówek, biedronkę, niewielkiego pająka, kwietniczka dwojaczka, naliściaka, hurmaka olszowca, jakąś włochatą gąsienicę i wiele innych owadów. Kilka martwych unosiło się na powierzchni wody.

- Niektóre mają skrzydła - ciągnął pucułowaty. - Na te trzeba szczególnie uważać, żeby nie uciekły. Jak tylko wyłażą z wody, trzeba je strącać patykiem.

- Co jakiś czas dolewamy trochę wody - dorzucił Maciek. - To podkręca emocje. Inaczej siedzielibyśmy tu nad nimi tydzień.

- Tak, robale są strasznie wytrzymałe. - Pucułowaty skinął głową.

- To są owady - powiedziałem przez ściśnięte gardło. - Nie żadne robale.

- Te, naukowiec, nie wymądrzaj się tak! - Pucułowaty zarechotał śmiechem, a pozostała dwójka mu zawtórowała. - Ej, Maciek, stonoga ucieka! Wal ją patykiem!

- To nie jest stonoga, tylko krocionóg - zaprotestowałem słabo. Po co oni to robią?

- Nie znasz się - skwitował ten z odstającymi uszami. - Każdy wie jak wygląda stonoga.

- To krocionóg - upierałem się. - Stonoga ma krótki, owalny tułów i czasem zwija się w kulkę. I wcale nie ma stu nóg.

Nikt mnie nie słuchał. Uzbrojeni w patyki pochylali się nad wiadrem, raz po raz szturchając próbujące się wydostać owady. Czułem, że narasta we mnie gniew.

- Po co to robicie?! - krzyknąłem. - One nic wam nie zrobiły!

- Dawaj ten słoik, Maciek - mruknął Pucułowaty, ignorując mnie zupełnie. - Dorzucimy paru zawodników.

W przyływie frustracji złapałem leżący w trawie słoik i wysypałem uwięzione w nim owady. Niektóre od razu wzniosły się w górę i odleciały, inne pełzały oszołomione u naszych stóp. Trójka oprawców popatrzyła po sobie ze zgrozą.

- Tak sobie pogrywasz?! - ryknął w moją stronę Pucułowaty. - Zaraz tego pożałujesz, przyjacielu robali. - Skinął na pozostałą dwójkę. - Brać go! Wsadzimy mu głowę do wiadra z robalami!

Rzucili się na mnie. Pucułowaty zacisnął ramię wokół mojej szyi i ciągnął w dół, aż mi oczy wyszły z orbit, podczas gdy Maciek z uszatym uwiesili mi się na rękach. Wrzeszczałem i próbowałem się uwolnić, ale byłem w stanie tylko bezradnie wierzgać, jak bawół zaatakowany przez lwy, którego widziałem kiedyś w przyrodniczym filmie. Upadłem na kolana. Plastikowe wiaderko znalazło się kilkadziesiąt centymetrów od mojej twarzy.

- Zaraz zeżreją cię robale! - sapał mi do ucha Pucułowaty.

Uwielbiam owady, ale to nie znaczy, że lubię kiedy spacerują mi po twarzy. Poza tym nie znoszę, jak ktoś obcy mnie dotyka, a jeśli mnie szarpie, to już w ogóle tracę nad sobą panowanie. Dostaję wtedy nadludzkiej siły. Tak było i tym razem. Wciąż wrzeszcząc podwoiłem wysiłki, by uwolnić się z objęć oprawców i osiągnąłem tyle, że wszyscy czworo przewróciliśmy się i wylądowaliśmy w trawie. Wtedy udało mi się kopnąć wiadro. Woda chlusnęła na wszystkie strony, owady wydostały się na wolność, przynajmniej te, które jeszcze żyły. Przed oczami latały mi czerwone plamy, sam nie wiem, czy z wściekłości, czy z wysiłku. Pucułowaty wciąż mnie dusił. Usłyszałem, że ktoś wrzeszczy - to znaczy ktoś oprócz mnie i aż zamilkłem zaskoczony.

- To Wrzaskun! - krzyknął dziwnie piskliwym tonem Maciek. - Chodu!

Puścili mnie i w jednej chwili zniknęli w zaroślach. Leżałem na ziemi struchłały, zdany na łaskę i niełaskę straszliwego Wrzaskuna. Oczekiwałem, że z krzaków wyłoni się jakiś upiór o czerwonych ślepiach, z długimi do kostek łapskami, zakończonymi szponami ostrymi jak

brzytwa. Jakież było moje zdumienie, kiedy ujrzałem zwyczajnego staruszka w okularach i słomkowym kapeluszu...

- Nic ci się nie stało? - spytał łagodnym tonem. Pomógł mi wstać i otrzepać ubranie z liści i innych śmieci, które przyłgnęły do mnie w trakcie walki.

- Ja nic nie zrobiłem! - Zacząłem się tłumaczyć, mając w pamięci, że w szkole to ja zwykle zostaję obarczony winą za wszystko co złe, nawet jeśli nic takiego nie zrobię. - Oni męczyli owady! Tam był hurmak olszowiec i kwietniczek dwojaczek, on jest tutaj dosyć rzadki, przynajmniej ja go dotąd nie widziałem, i naliściak i w ogóle, i ja tylko chciałem je uratować, bo oni na nie mówili, że to robale i chcieli, żeby one umarły i żeby przeżył tylko jeden, i dlatego szturchali je patykami i chcieli żebym robił to samo i... Ja nic nie zrobiłem!

Staruszek słuchał mnie lekko oszołomiony.

- Uspokój się. - Położył mi dłoń na ramieniu. - Wiem, że nie zrobiłeś nic złego. To te łobuzy, jak zawsze... - Urwał w pół zdania. Przez chwilę tylko śmiesznie poruszał ustami. - Skąd znasz nazwy tych owadów?

- Z takiej książki, którą kupiła mi mama - wyjaśniłem, czując, że tętno wraca mi do normy. To chyba łagodny głos staruszka miał na mnie kojący wpływ. - Bardzo lubię obserwować owady i porównywać z tymi w książce. To dlatego znam ich nazwy.

Wrzaskun uśmiechnął się szeroko jakby właśnie wygrał kupę pieniędzy na loterii i przez chwilę zastygł z tym uśmiechem na twarzy.

- Jestem nauczycielem biologii - powiedział wreszcie. - Emerytowanym. Mieszkam w tym domu, o tam. - Wskazał palcem dom, który widziałem już wcześniej. - Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Jesteś wyjątkowym chłopcem.

- Nie zrobiłem nic złego - zastrzegłem się na wszelki wypadek.

- Wiem o tym. Przeciwnie, zrobiłeś coś dobrego.

Zwykle kiedy ktoś mnie chwali, czuję się skrępowany. Spuściłem wzrok.

- Czy ja wiem... - Wzruszyłem ramionami. - Ja tylko kopnąłem wiadro...

- Nie pozwoliłeś tym łobuzom skrzywdzić owadów. To są żywe stworzenia. Uratowałeś je.

- No tak, ale... to tylko kilka owadów.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Słyszałeś opowieść o dziewczynce, która zbierała rozgwiazdy? - spytał. Pokręciłem głową. - Zbierała na plaży rozgwiazdy wyrzucone na brzeg przez fale i wrzucała je z powrotem do morza. Przechodził tamtędy pewien pan i zauważył, że dziewczynka płacze. Dlaczego płaczesz? - zapytał. Odpowiedziała: Płacę, bo tych rozgwiazd są tysiące, a ja jestem sama i mogę uratować tylko kilka, a pozostałe umrą, więc to co robię nie ma żadnego znaczenia. Wtedy ten pan powiedział jej: Dla tych, które uratujesz, to ma znaczenie. - Staruszek uśmiechnął się znowu. - Rozumiesz?

- Chyba... tak.

- Małe rzeczy mają znaczenie. Owady też są małe, a znaczą bardzo wiele. Wiesz o tym?

- Naprawdę?

- Jasne, że tak. Owady poradziłyby sobie bez ludzi. Ludzie bez owadów nie.

- Jak to? - zdumiałem się.

- Owady sprzątają świat, przerabiając na glebę martwe rośliny i zwierzęta oraz ich odchody. Gdyby nie one, świat zmieniłby się w wielki śmietnik, a przy tym raj dla organizmów przenoszących choroby. Same są pokarmem dla wielu zwierząt. Zjadają je na przykład ryby, dlatego wędkarze używają owadów jako przynęty. Zjadają je ptaki. A przede wszystkim większość roślin, nie tylko dzikich ale i uprawnych, zapylana jest przez owady. Kiedy jesz

kanapkę z wołowiną i warzywami, popijając mlekiem, to dzięki owadom, bo choć pszenica, z której zrobiona jest bułka, została zapyłona przez wiatr, to już takiego ogórka zapyliły owady. I dzięki owadom powstaje pasza, więc krowa ma co jeść i może wytworzyć mleko.

Słuchałem go oszołomiony. Nie przypuszczałem, że te niewielkie stworzenia, które chowają się w trawie, robią tyle dobrego

- Naukowcy obliczyli, że co trzeci kęs jedzenia jaki spożywamy, zawdzięczamy owadom
- ciągnął Wrzaskun. - Nie potrafilibyśmy bez nich żyć. Wiesz co? - Spojrzał na mnie zza okularów. - Myślę, że dzisiaj zrobiłeś coś wielkiego. Myślę, że uratowałeś świat.
- Serio?! - Zrobiłem wielkie oczy.
- Tak jest. - Z powagą skinął głową. - A przynajmniej jakąś jego część.

Jeszcze bardziej oddałam się od domu

Nieco później poszedłem ze staruszką (który wcale nie nazywa się Wrzaskun, tylko Julian, jak ten lemur z kreskówki) do jego domu, a właściwie na werandę przed domem. Chwilę się zastanawiałem czy przyjąć zaproszenie, bo staruszek mógł być porywaczem dzieci, ale obiecał, że poczęstuje mnie sokiem pomarańczowym, a że bardzo chciało mi się pić, to dałem się skusić. Myślę, że gdyby chciał mnie porwać, to dałbym radę uciec, bo jestem dosyć szybki a on poruszał się strasznie wolno, niewiele szybciej niż ślimak.

Kiedy już napiliśmy się obaj soku, opowiedziałem mu o kluczu i psie. Wtedy on podrapał się po nosie, poprawił okulary i oznajmił, że jego zdaniem to mało prawdopodobne, żeby pies ukradł mój klucz. I że najlepiej będzie jak wrócę do domu i zaczekam na mamę. A klucz pewnie jest gdzieś na trawniku obok bloku i na pewno się znajdzie, jeśli dobrze poszukam.

Brzmiało to całkiem przekonująco, ale nie byłem pewien czy uda mi się znaleźć drogę do domu, bo przecież jestem tu nowy i nie znam miasta.

Podzieliłem się z nim swoimi obawami, a wtedy on pokazał mi bloki widoczne w oddali między drzewami. Jego dom znajdował się na wzniesieniu, więc z werandy mieliśmy doskonały widok.

- To jest twoje osiedle - powiedział. - Jak widzisz to całkiem niedaleko. Na oko jakieś trzysta kroków, może ciut więcej. Mówiłeś, że na którym piętrze mieszkasz, na trzecim? No to na pewno z twojego balkonu widać mój dom.

Faktycznie, musiał mieć rację. Uświadomiłem sobie, że jego dom to jeden z tych, które po zmroku zamieniają się w żółte ślepie i pomyślałem, że teraz już nie będę się ich bał. Bo wiem, że to zwykłe domy, w których można się napić soku pomarańczowego i mieszkają w nich zwykli ludzie, a w niektórych nawet nie zwykli, tylko tacy fajni jak pan Julian.

Mimo wszystko minę miałem nietęgą. Staruszek w lot domyślił się, gdzie leży przyczyna.

- Martwisz się, że po drodze spotkasz tych łobuzów? - Skinąłem głową. - Niestety nie mogę cię odprowadzić, czekam na ważnego gościa. Ale możesz wrócić inną drogą. Chodź, pokażę ci.

Wyszliśmy przed dom. Biegła tam ulica, taka jak za moim blokiem, a wzdłuż niej wąski chodnik.

- Pójdiesz chodnikiem aż do skrzyżowania. - Pan Julian pokazał mi kierunek. - Tam skręcisz w lewo i znowu pójdiesz prosto, aż do kolejnego skrzyżowania, gdzie znowu skręcisz w lewo. Następnie kawałek prosto i po chwili znajdziesz się na swoim osiedlu. Wystarczy, że będziesz trzymał się chodnika i trafisz bez problemu. Co ty na to?

Powiedziałem, że wygląda to na najłatwiejszą drogę pod słońcem. Pan Julian dał mi jeszcze kilka dodatkowych wskazówek, po czym pożegnaliśmy się.

- Odwiedzaj mnie kiedy tylko będziesz miał ochotę - rzekł na odchodnym, potrząsając moją dłoń, przez co poczułem się prawie jak dorosły.

Maszerowałem rażno chodnikiem. Po prawej ręce miałem jezdnię i wzgórze zwieńczone lasem, a po lewej zarośla i trochę drzew. Teren opadał tam łagodnie ku łączce, na której spotkałem Maćka i jego kamratów. Przed oczami śmignęła mi tężnica wytworna - piękna niebieska ważka, ale dosyć popularna i widziałem ją już mnóstwo razy. W trawie po obu stronach drogi cykały świerszcze - było ich tak wiele, że brzmiało to jakby tysiąc osób grało naraz na grzechotkach. Minąłem kilka domów i dotarłem do skrzyżowania. Skręciłem w lewo.

Zgodnie z planem miałem minąć teraz supermarket Netto i ponownie skręcić w lewo, ale w tym momencie dostrzegłem po drugiej stronie ulicy psa. Bez żadnych wątpliwości był to ten sam pies, którego posądziłem o kradzież klucza, i chociaż pan Julian mi to wyperswadował, to na widok zwierzaka poczułem, że muszę się upewnić, czy aby na pewno go nie zwędził. Nie było czasu do namysłu, pies oddalał się truchtem i lada chwila mógł zniknąć mi z oczu. Ruszyłem za nim biegiem. Usłyszałem tuż obok pisk samochodowych opon, krzyk jakiejś kobiety i przekleństwa, pewnie kierowcy. Oszołomiony przebiegłem przez jezdnię. Ktoś złapał mnie za ramię.

- Hej, mały, nic ci się nie stało? - usłyszałem. Wyrwałem się i pobiegłem dalej, wypatrując psa. Niestety ta chwila zwłoki okazała się kluczowa (nomen omen). Pies zniknął.

Szedłem jeszcze kawałek, rozglądając się uważnie. Najwyraźniej trafiłem na osiedle, ale nie to, na które miałem trafić. Choć większość ulic i budynków wygląda dla mnie podobnie, to nawet ja widziałem, że tutaj bloki stoją bliżej siebie, w równych rzędach, a nie jak na moim osiedlu, chaotycznie porozrzucane. Nie jestem dobry w odnajdywaniu dróg i czułem, że znowu mam kłopoty. Serce biło mi mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Mógłbym spytać kogoś o drogę, ale co jeśli okaże się porywaczem dzieci?

Zawróciłem i przeszedłem kilkadziesiąt kroków. Niestety nie byłem w stanie dostrzec nic, co wyglądałoby znajomo. Zdecydowałem się pójść w kierunku pobliskiego placu zabaw, skąd dochodziły radosne okrzyki i piski bawiących się dzieci. Może tam zasięgnę języka?

Na placu było kilka mam z wózkami, w których kołysały swoje pociechy i chyba z tysiąc dzieci huśtających się na huśtawkach, zjeżdżających ze zjeżdżalni, albo wspinających się na drewniane konstrukcje pełne lin i drabinek. Kilkoro maluchów budowało zamek w piaskownicy. A jeden szczerbaty mikrus, dosiadłszy okrakiem patyk, biegał wokół nich na krótkich nóżkach, krzycząc: „do boju, pędź, mój Bucefale!”. Na moment zatrzymał się przy mnie i wówczas dostrzegłem imponującego gila zwisającego mu z nosa. Kiedy zauważył, że się mu przyglądam, wciągnął go z niesamowitą prędkością, z jaką wąż wsuwa i wysuwa język. Wyglądało to niemal jak magiczna sztuczka.

- To mój brat, Alek - powiedziała do mnie dziewczyna w niebieskiej sukience. Była trochę niższa ode mnie i miała jasne włosy upięte w kucyk. - Bawi się w Aleksandra Wielkiego.

Nie odpowiedziałem. Rzadko odzywam się do nieznajomych. Zresztą co niby miałbym jej powiedzieć? Że to bez sensu, żeby ktoś tak mały bawił się w kogoś wielkiego?

Strasznie mnie irytował ten cały rozgardiasz wokoło i już miałem zamiar odejść, ale akurat zwolniła się jedna z huśtawek. Bardzo lubię się huśtać. Usiadłem na niej i rozhuśtałem się najmocniej jak tylko dałem radę, co oznacza, że naprawdę mocno.

- Hej, uważaj, bo sobie zrobisz krzywdę - powiedziała z niepokojem jedna z mam. Zignorowałem ją. Co ona sobie myśli, że huśtam się pierwszy raz? Zamknąłem oczy i huśtałem się dalej. Przestałem słyszeć ten drażniący hałas, wytwarzany przez dzieciarnię. Czułem na twarzy pęd powietrza i miałem wrażenie, że zamieniłem się w ptaka.

Kiedy huśtanie mi się znudziło, otwarłem oczy i zeskoczyłem z huśtawki kiedy znajdowała się niemal w najwyższym punkcie. Oddałem imponujący skok, którego nie powstydziliby się pienik olchowiec, i wylądowałem na tyłku w piaskownicy.

- Ej, ty, co wyprawiasz?! - Ofuknęła mnie inna mama. - Chcesz sobie skrócić kark?!

- Sobie, albo komuś - dorzuciła kolejna z naganą w głosie.

A dziewczyna w niebieskiej sukience wyrosła obok mnie jak spod ziemi i powiedziała:

- Łaaa!, to było super! Gdzie się nauczyłeś tak skakać?

Tym razem wymruczałem jakąś wymijającą odpowiedź. Strasznie się krępuję, kiedy rozmawiam z nieznanymi, a z dziewczynami to już w ogóle. Dawno zauważyłem, że różnię się od innych dzieci w sposób, którego nie potrafię pojąć. Na przykład zawsze myślałem, że celem rozmowy jest mówienie o rzeczach, które najbardziej cię interesują - to wydaje mi się logiczne. Jednak po iluś tam próbach zrozumiałem, że nie o to chodzi i moi rozmówcy szybko mają mnie dość. Nie wiem dlaczego tak jest. Ale myślę, że to z tego powodu nigdy nie miałem prawdziwych przyjaciół: nie potrafię nadawać na tych samych falach, co moi rówieśnicy. Czasem lepiej rozmawia mi się z dorosłymi. Nauczyłem się, że lepiej nie mówić za dużo i unikać tematów, które naprawdę mnie interesują. Wtedy przynajmniej nie nazywają mnie dziwakiem, albo jeszcze gorzej.

Na placu zabaw oprócz zwyczajnych metalowych zjeżdżalni była też nadmuchiwana zjeżdżalnia-gigant. Nie mogłem oprzeć się pokusie, by z niej zjechać. Zauważyłem, że dzieci, stając w kolejce do tej zjeżdżalni ściągają buty, więc zdjąłem swoje, zostawiłem je w rzędzie obok innych i stanąłem w sznureczku oczekujących na swoją kolej dziewcząt i chłopców.

Gram w szachy ze Szczerbatym

Zjechałem. Było super. Inaczej niż na huśtawce, ale równie przyjemnie. Kolejka dosyć szybko się przesuwiała, więc zjechałem jeszcze dwa razy. A potem zdecydowałem, że wystarczy i pora ruszać w dalszą drogę (choć nie bardzo wiedziałem dokąd). Problem w tym, że nie pamiętałem jak wyglądają moje buty.

To jedna z moich wielu wstydliwych przypadłości. Łatwo zapamiętuję to, co mnie interesuje, z kolei do niektórych rzeczy zupełnie nie mam pamięci. W szkolnej szatni zawsze pamiętam gdzie powiesiłem kurtkę, ale jeśli pod moją nieobecność ktoś przewiesi ją na inny wieszak, nie potrafię jej odnaleźć. Po prostu nie pamiętam jak wygląda. To samo dotyczy butów. Jeśli leżą w miejscu, w którym je zostawiłem, nie ma problemu. Ale często się zdarza, że ktoś je kopnie albo celowo umieści gdzie indziej i kłopot gotowy.

Pamiętałem, że położyłem moje buty obok pary różowych trampek, ale wyglądu samych butów nie potrafiłem przywołać z pamięci. Różowych trampek też nigdzie nie widziałem i nic dziwnego, bo jedne dzieci przychodziły, inne odchodziły od zjeżdżalni i układ butów ciągle się zmieniał. Zrozpaczony usiadłem na trawie i schowałem głowę w dłoniach. I znowu zjawiała się dziewczyna w niebieskiej sukience.

- Co się stało? - spytała. Podniosłem głowę i spojrzałem na nią. Miała trochę piegów i oczy niebieskie jak jej sukienka. - Źle się czujesz?

- Nie mogę znaleźć butów - powiedziałem czując, że czerwienię się ze wstydu.

- Nie martw się, przecież muszą tutaj być! Chodź, pomogę ci szukać.

Złapała mnie za rękę. Wstałem i poszedłem za nią.

- Tyle że... - wymamrotałem. - Ja... nie pamiętam, jak wyglądają.

Popatrzyła na mnie, robiąc wielkie oczy, a potem parsknęła śmiechem.

- No jasne! Kto by tam pamiętał, jak wyglądają jego buty! - zawołała wesoło.

Kiedy ktoś się ze mnie wyśmiewa, dosyć łatwo wpadam w gniew. I oczywiście zwykle źle się to dla mnie kończy. Ale teraz nie byłem zły, bo nie miałem wrażenia, że dziewczyna śmieje się ze mnie. Było mi tylko wstyd.

Szliśmy wzdłuż długiego szeregu par butów, przyglądając się im po kolei.

- Pamiętasz jaki miały kolor? - dopytywała dziewczyna. Pokręciłem głową.

Niestety, jak się okazało, obserwował nas wyrostek w podartym podkoszulku i spodenkach z numerem 10 na nogawce. Kiedy załapał co jest grane, obnażył wystające zęby w szerokim obślinionym uśmiechu i zawołał przez ramię:

- Hej, chłopaki, chodźcie zobaczyć kretyna, co nie umie znaleźć swoich butów!

Zleciało się paru chłopaków w sportowych strojach. Numer 10 zrelacjonował im sytuację. Zaczęli nabijać się ze mnie i wytykać mnie palcami. Poczulem, że ze wstydu pałą mnie nawet uszy.

- Jak możecie! - rzuciła dziewczyna w niebieskiej sukience, marszcząc groźnie brwi. - Dajcie mu spokój! Wy... wy osły!

Zignorowali ją i dalej nie szczędzili mi szyderstw, a ja czulem pęczniejący we mnie gniew. Kiedy zostanie przekroczona pewna granica, tracę nad sobą kontrolę. Złapałem najbliższą roześmianą twarz i ścisnąłem. Pragnąłem zmiać ją jak gazetę i zetrzeć z niej ten głupkowaty uśmiech.

Szyderstwa ucichły jak ucięte nożem, kiedy zaatakowany przeze mnie chłopak krzyknął z bólu.

- Ty gnojku! - wrzasnął. - Masz! - I trzasnął mnie pięścią w ucho.

Zakręciło mi się w głowie. Zatoczyłem się i upadłem na plecy, ale zaraz zerwałem się na równe nogi, gotów rzucić się do walki. Dziewczyna zasłoniła mnie własnym ciałem.

- Dajcie mu spokój! - krzyknęła. - Bo zawołam tatę!

Jeden z tamtych, najwyższy, obcięty na jeża, stanął między mną a tym, który mnie uderzył.

- Racja, dość tego - powiedział, unosząc ręce. I dodał, patrząc na mnie: - Chodź, pogadamy.

Dziewczyna patrzyła na niego nieufnie, ale odsunęła się na bok kiedy podszedł i otoczył mnie ramieniem.

- Wiem jak znaleźć twoje buty - oświadczył.

- Powiesz mi? - spytałem czując, jak wstępuje we mnie nadzieja. Skinął głową.

- Powiem, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

Pociągnął mnie w stronę trawiastego placu nieopodal placu zabaw. Jego kompani podążali kilka kroków za nami. Obok placu znajdował się długi, przysadzisty budynek z napisem „ŚWIETLICA ŚRODOWISKOWA”, a dalej drugi, mniejszy. „ZEGARMISTRZ” - głosił szyld nad wejściem.

- Piłka nam tam wpadła - oznajmił bez ogródek chłopak. - Jak mi ją przyniesiesz, to znajdę twoje buty.

Wzruszyłem ramionami.

- A czemu sam po nią nie pójdziesz?

Zarechotał krótkim śmiechem.

- Byłem po nią. Ale Szczerbaty nie chce jej oddać.

- Szczerbaty?

- Ten typ w środku. Zegarmistrz.

Zastanawiałem się przez chwilę.

- To niedobrze - powiedziałem wreszcie. - To nie jest jego piłka. Powinien ją oddać.

- No właśnie. To co, umowa stoi?

Nie rozumiałem o co mu chodzi. Jaka umowa może stać albo leżeć?

- Przynosisz piłkę, ja znajdę ci buty. Zgoda?

To było dla mnie jasne. Skinąłem głową i podszedłem do budynku. Witryny miał zakurzone, wnętrze ciemne, przez brudne szyby nie dało się prawie nic dostrzec. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka.

Pierwsze co zwróciło moją uwagę to dźwięk: wewnątrz zakładu wypełniało miarowe tykanie dziesiątek rozmaitych zegarów. Trochę przypominało odgłosy wydawane przez świerszcze albo koniki polne. Lubię ciszę, ale lubię też tego rodzaju rytmiczne, nieco monotonne dźwięki, dzięki czemu od razu poczułem się spokojniejszy, niemal odprężony. Oczy szybko przyzwyczały mi się do półmroku i dostrzegłem te wszystkie tykające zegary. Stały dosłownie wszędzie: na półkach, na podłodze, na drewnianym kontuarze, a niektóre wisiały na ścianach. Małe, duże, rozmaitych kształtów i kolorów, z wahadłem i bez, bogato zdobione i zupełnie proste.

Za konturem siedział mężczyzna tak gruby, że na jego widok zacząłem się zastanawiać w jaki sposób zdołał się tam dostać i jak w ogóle jest w stanie poruszać się w tej ciasnocie bez uszkodzenia czegokolwiek. Miał mięsiste wargi, tłuste, rzadkie włosy sięgające do ramion i wielkie plamy potu na koszuli pod pachami. Patrzył na mnie spod półprzymkniętych powiek nieruchomym wzrokiem jak żaba, czekająca aż nieostrożna mucha zbliży się dostatecznie blisko, by dało się jej sięgnąć językiem.

- Przyszedłeś po piłkę? - zapytał, a raczej wysapał.

Skinąłem głową.

- Czemu myślisz, że ci ją oddam?

- Powinien pan oddać. To nie pana piłka.

- Ci smarkacze to twoi koledzy? - Wskazał podbródkiem drzwi.

- Nie. Nie mam kolegów.

Uniósł wysoko brwi.

- Aż się boję spytać, co z tobą nie tak, mały, skoro w tym wieku nie masz kolegów. - Uśmiechnął się krzywo. Zobaczyłem, że brakuje mu jednego zęba z przodu i zrozumiałem, dlaczego tamten chłopak nazywał go „Szczerbatym”. - Przyleciałeś tu z Marsa, czy co?

- Nie, proszę pana. Przyszedłem z domu.

Przez chwilę drapał się w zamyśleniu w nieogolony policzek.

- Skoro to nie twoi kumple, to o co chodzi z tą piłką?

- Jeśli odzyskam piłkę, oni znajdą moje buty.

Powędrował spojrzeniem w dół, na moje stopy, i zmarszczył brwi. Przez chwilę w milczeniu gryzł wargę.

- To co, da mi pan tę piłkę? - spytałem w końcu, bo strasznie długo to trwało. A może po prostu w tym sklepie każda chwila trwała trochę dłużej niż gdzie indziej, przez to tykanie zegarów.

- Mówiłem smarkaczom, żeby mi nie grali w piłkę przed sklepem - burknął. - Od tego mają Orlika. W ciepłe dni otwieram od czasu do czasu drzwi żeby przewietrzyć sklep, no i masz, stało się. Piłka wpadła do środka i zniszczyła zegar. Stary, cenny zegar, z kukułką. - Westchnął ciężko.

Nie odpowiedziałem. Czekałem na ciąg dalszy.

- Ten tam cwaniaczek obcięty na jeża, niby taki kozak, a straszył mnie swoim tatą. I wiesz co mu powiedziałem? - Pokręciłem głową. - Bardzo dobrze! Przyjdź chłopcze z ojcem, to ojciec zabuli za zniszczony zegar. No ale nie przyszedł. Wie, że ojciec złołby mu skórę.

Nie do końca wiedziałem co ma na myśli. Kozak to chyba grzyb, a tamten chłopak wcale nie przypominał grzyba.

- Grałeś kiedyś w szachy? - zapytał nagle. Ponownie pokręciłem głową. - Proponowałem im partyjkę, ale żaden nie podjął wyzwania. Nie jestem jakimś mistrzem szachowym, po prostu lubię grać, ale rzadko mi się trafia ktoś chętny. Powiedziałem, że jak który ze mną zagra, to oddam piłkę, ale jak grochem w ścianę. Może ty się skusisz?

Nie miałem pojęcia co ma do tego groch, ale powiedziałem, że mogę spróbować. Uśmiechnął się pod nosem, wyjął spod kontuaru szachownicę i sprawnie rozstawił figury. Następnie przez kilka minut tłumaczył mi w jaki sposób się poruszają i co trzeba zrobić, żeby wygrać.

- No, to grajmy! - Zatarł z radości ręce. - Nic się nie przejmuj, mały. Nikt się mistrzem nie rodzi, a szachy to trudna gra.

Rozpoczęliśmy rozgrywkę i szybko wciągnąłem się po same uszy. Podobała mi się symetria szachownicy i jasne zasady. W głowie nie wiadomo skąd zaczęły mi się pojawiać rozmaite schematy i warianty zagrań. Ostatecznie wygrałem partię po kilkunastu minutach.

- Szczęście nowicjusza! - skwitował Szczerbaty. - Zagrajmy jeszcze raz.

- A co z tą piłką? - przypomniałem nieśmiało.

- A, piłka. - Machnął lekceważąco dłonią. - Oczywiście, że ci ją dam. Zasłużyłeś. Ale najpierw zagrajmy.

No to zegraliśmy. Tym razem do zwycięstwa wystarczyło mi zaledwie kilkanaście posunięć. Kiedy skończyliśmy, Szczerbaty długo wpatrywał się we mnie w zamyśleniu.

- Na pewno nigdy dotąd nie grałeś? - Pokręciłem głową. Uśmiechnął się krzywo. - Ani nie przyleciałeś z Marsa?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Wręczył mi piłkę.

- Może to i dobrze, że nie masz kolegów. Ci smarkacze, co tam na ciebie czekają, nie dorastają ci do pięt.

Wywlókł swe ogromne cielsko zza kontuaru i otworzył przede mną drzwi, nie uszkadzając przy tym żadnego zegara.

- Uważaj na sobie, smyku - rzekł mi na odchodne. - I wpadnij tu czasem na partyjkę szachów.

Odzyskuję buty, po czym nogi niosą mnie w nieznane

Kiedy wyszedłem od zegarmistrza, na moment oślepiło mnie słońce, a potem zobaczyłem czekających na mnie nieopodal chłopców w sportowych strojach. Zostało ich tylko trzech, pozostałym widocznie znudziło się czekanie. Zobaczyli, że niosę piłkę i oczy im się zaświeciły. Otoczyli mnie, poklepywali po plecach i wołali: „dobra robota!”. Było to trochę męczące.

Ten z włosami na jeża wziął ode mnie piłkę i pobiegli jak wariaci w stronę bloków. Patrzyłem na to zdumiony, nic nie rozumiejąc.

- Hej, a gdzie moje buty? - zawołałem za nimi. Odpowiedział mi tylko śmiech.

Dotarło do mnie, że zostałem oszukany, ale nadal nie mieściło mi się to w głowie. Po co robić takie rzeczy? Mówić jedno, a robić co innego? Wiedziałem tylko, że to jest złe. Próbowałem nazwać swoje emocje, tak jak uczyła mnie jedna pani psycholog na zajęciach, na

które uczęszczałem w poprzednim mieście. Gniew i smutek. Nie byłem tylko pewien, które z tych uczuć jest w tym momencie silniejsze.

Ja zawsze chcę robić dobre rzeczy. Zasłużyć na pochwałę, na uznanie. Być choć raz za coś podziwianym. Czuć się potrzebnym. Nawet kiedy kopnąłem tego ósmoklasistę w tyłek, byłem przekonany, że robię coś dobrego dla kolegów z klasy. Próbowałem ich lubić i pragnąłem, żeby oni też mnie lubili. Wierzyłem, że dryblas zasłużył na tego kopniaka, bo robił złe rzeczy. Ale te typki od piłki nawet nie spróbowały znaleźć moich butów. Oni od początku nie mieli zamiaru wywiązać się z umowy. Dlaczego?

Zrezygnowany powlokłem się do nadmuchiwanej zjeżdżalni. Na szczęście kiedy grałem w szachy z zegarmistrzem spora część dzieci opuściła plac zabaw i zostało niewiele butów. Oczywiście natychmiast wyrosła przy mnie dziewczyna w niebieskiej sukience.

- Wróciłeś! - ucieszyła się. - To teraz na pewno znajdziemy twoje buty!

Pojawił się też mały Alek. Tym razem użył kija w charakterze miecza i ukłął mnie w pośladek. Spojrzałem na niego surowo, ale on z niewzruszonym wyrazem twarzy włożył kij z powrotem między nogi i z okrzykiem „pędź, mój Bucefale!” pogalopował w stronę huśtawek.

- Rodzice oglądali wczoraj film o Aleksandrze Wielkim - powiedziała dziewczyna usprawiedliwiającym tonem. - Alek trochę podglądał i wiesz...

Urwała, bo z przeciwległego końca placu dobiegło naszych uszu kobiece wołanie:

- Alek! Zuzia! Gdzie jesteście? Zuuuzia! Idziemy do domu!

- Muszę lecieć! - Dziewczyna zrobiła zmartwioną minę. - Bardzo cię przepraszam.

Nie wiedziałem za co mnie przepraszają, przecież nie zrobiła mi nic złego.

- Zostałabym dłużej - rzuciła usprawiedliwiającym tonem. - Ale muszę jeszcze poszukać psa.

- Psa? - Zesztywniałem. - Jakiego psa?

- Małego szczeniaczka, nazywa się Tofik - odparła. - Mam go dopiero drugi dzień, a już mi uciekł. No ale może uda mi się go odnaleźć. - Uśmiechnęła się do mnie. - Pędzę. Przyjdź jeszcze kiedyś na plac zabaw. Nauczysz mnie skakać z huśtawki.

I popędziła w stronę młodej kobiety, która czekała już na nią koło trampoliny, trzymając Alka za rękę.

Na chwilę zapomniałem o butach i stałem jak słup soli zastanawiając się, czy to możliwe, że ja i ona szukamy tego samego psa.

Doszedłem do wniosku, że z całą pewnością tak właśnie jest. To nie może być zbieg okoliczności.

Kiedy rozwiązałem własne wątpliwości i odrobinę ochłonąłem, wróciłem do przyglądania się butom. Miałem wrażenie, że tylko jedna para - granatowe adidasy - rozmiarem pasuje na moje stopy. I w tym momencie doznałem olśnienia: to muszą być te buty, bo tylko one spośród wszystkich w szeregu są zapinane na rzepy, a nie na sznurówki! Moje dłonie w żaden sposób nie były w stanie opanować wiązania sznurowadeł, co doprowadzało mnie do rozpaczki, więc rodzice dla świętego spokoju kupowali mi wyłącznie buty z rzepami.

Założyłem adidasy na stopy i odetchnąłem z ulgą. Jeden problem z głowy. Uznałem, że mam dosyć mocnych wrażeń i pora wracać do domu. Tyle że, zreflektowałem się, nie wrócę do domu, bo nie mam klucza. Więc mogę co najwyżej wrócić pod blok (jeśli uda mi się tam trafić) i czekać na ławce aż wróci mama, co nastąpi dopiero za kilka godzin. Może więc lepiej wykorzystać ten czas na szukanie psa? Tylko jak to zrobić, nie pakując się znowu w jakieś tarapaty?

Trawnik pod blokiem wydawał mi się najbezpieczniejszym z dostępnych miejsc. W tym momencie jednak na metalowej drabince obok mnie z bzyknięciem wylądował cudowny owad i

momentalnie zapomniałem o całym bożym świecie. To była strojnica baldaszkówka - przepięknie ubarwiony chrząszcz, od spodu cętkowany jak lampart, z grzbietem w czarno-czerwone pasy, przez co wygląda jakby założył koszulkę klubu piłkarskiego AC Milan. Nigdy dotąd nie widziałem go w naturze i byłem wręcz odurzony jego widokiem. Kiedy ponownie poderwał się do lotu, bez namysłu popędziłem za nim, zupełnie nie zwracając uwagi na to, dokąd mnie nogi niosą. Szczęśliwie pokonałem kolejną ulicę i pobiegłem dalej wąską alejką, starając się nie tracić owada z oczu. Ten jednak nabierając prędkości wzbił się gwałtownie w górę i zniknął w przestworzach.

Stałem przez chwilę zgięty w pół, opierając dłonie na kolanach, i ciężko dyszałem. Kiedy serce przestało mi walić jak bęben, uniosłem głowę i rozejrzałem się wokoło. Znajdowałem się na terenie kompleksu sportowego - po mojej prawej ręce gromady dzieciaków grały w piłkę nożną, kosza i siatkówkę, tak że przez moment miałem wrażenie, że przeniosłem się w czasie i patrzę na boiska, które odkryłem w gęstwinie za garażami nieopodal mojego bloku, w latach ich świetności, zanim zarosły chwastami i pokryły się siatką pęknięć. Ale ta przelotna wizja zaraz minęła i dostrzegłem różnice: tutaj boisk było więcej i miały sztuczną nawierzchnię zamiast betonu. W tle wznosił się wysoki gmach z mnóstwem okien, coś jakby szkoła albo fabryka.

Ruszyłem dalej alejką i dotarłem do największego boiska ze wszystkich. Miało prawdziwe trybuny, jak w telewizji, ogromne bramki i wymalowane na biało linie. Nieopodal, za prowizorycznym ogrodzeniem z żółtej taśmy stały koparki, ciężarówki i inne pojazdy. Kręciło się tam sporo mężczyzn w kaskach, teren był błotnisty, tu i ówdzie sterczały w górę pryzmy piachu i kamieni.

Dotarło do mojej świadomości, że nie mam pojęcia gdzie jestem. To było bardzo nieprzyjemne, jak nagłe zachłyśnięcie się lodowatą wodą. Przyłożyłem dłonie do uszu, zacisnąłem powieki i przez chwilę dreptałem w miejscu. Czasem to mi pomaga.

Poczułem czyjaś dłoń na ramieniu. Otwarłem oczy i opuściłem ręce. Stał nade mną robotnik w żółtym kasku i coś do mnie mówił.

- Wszystko dobrze, mały?

- Chyba tak - bąknąłem. - A co?

- A to, że drepczesz w kółko i gadasz do siebie, co nie wygląda najlepiej.

Nawet nie wiedziałem, że mówię do siebie. Zdarza mi się od czasu do czasu to robić, to mnie uspokaja. Ale zanim zdążyłem poinformować o tym mężczyznę, ktoś go zawołał.

- Nie kręć się tutaj, chłopcze - rzucił na odchodne. - To niebezpieczne.

- Dlaczego?

Przystanął i odwrócił się do mnie, marszcząc brwi.

- Bo to plac budowy. Tam jest tabliczka z napisem „nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Umiesz czytać?

- Tak. Ja tylko...

- No to zmiataj stąd, ale już!

- Zgubiłem klucz od domu!

- Tutaj go nie ma. - Na twarz mężczyzny wypełzł figlarny uśmiešek. Nie wiedziałem jak go interpretować. - Zapytaj w Biurze Znalezionych Kluczy.

- Jest takie biuro? - Ucieszyłem się. - Gdzie?

- Musisz iść w tamtą stronę. - Pokazał mi palcem kierunek. - To tylko kilka przecznic stąd.

Podziękowałem mu i wyruszyłem na poszukiwanie biura.

Trafiam na piracki okręt

Po kilkudziesięciu krokach wyszedłem spomiędzy niskich ceglanych budynków na chodnik i ujrzałem ulicę. Ale nie wąską, mało uczęszczaną boczną uliczkę, jak ta za moim blokiem. Tutaj w obu kierunkach ciągnęły niekończące się sznury samochodów. Ależ tam był ruch! I hałas... Aż zakręciło mi się w głowie. Miałem wrażenie, że każdy z samochodów pędzących po jezdni wjeżdża mi do jednego ucha jak do tunelu i wyjeżdża drugim. Chodnikiem przemieszczały się rzesze ludzi, co rusz mnie potrącając. Musiałem uciekać, znaleźć ciche, bezpieczne miejsce, zanim głowa pęknie mi jak przekłuty balon.

Zatykając uszy puściłem się biegiem wzdłuż ulicy. Rząd kolorowych budynków po mojej lewej stronie zdawał się nie mieć końca. Pasaż handlowy, pełen aptek, banków, sklepów z rowerami, piekarni i Bóg wie czego jeszcze. I oczywiście wypełniony setkami ludzi, którzy jak mrówki uwijali się w tym różnobarwnym galimatiasie. Dostrzegłem po drugiej stronie jezdni coś, co napełniło mnie nadzieją na wydostanie się z pułapki: Tonącą w cieniu olch boczną uliczkę, której wąska nitka wydała mi się oazą spokoju. Musiałem tylko jakoś ominąć te przeklęte, pędzące samochody. Zauważyłem sygnalizator świetlny: Tam musi być zatem przejście dla pieszych! Miałem rację. Zaczekałem na zielone światło i wraz z grupką przechodniów przedostałem się na drugą stronę. Dopadłem wylotu bocznej uliczki i popędziłem w głąb, między drzewa, byle dalej od hałasu...

Po chwili ujrzałem tory kolejowe i jakiś niski budynek, wyglądający na opuszczony. Przeszedłem na drugą stronę. Droga opadała łagodnie w dół, ku łące, której widok dodał mi otuchy. Lubię łąki. Gdzie łąka, tam dużo owadów. No i łąka jest zielona, a zielony to mój ulubiony kolor.

Szedłem wąskim chodnikiem wzdłuż jezdni w kierunku łąki. Nieco dalej wznosiło się kilka budynków, do których prowadziła droga usypana ze żwiru i kamieni. Pomyślałem, że może mam szczęście i gdzieś wśród nich jest Biuro Znalezionych Kluczy.

Skąpana w słońcu łąka to niesamowity widok. Wydaje się, że rośnie tam z tysiąc różnych roślin. Każde źdźbło, każda łodyga wygląda trochę inaczej od pozostałych, ma nieco inny odcień, fakturę, grubość, listki okrągłe, ostre lub karbowane... No i kwiaty. Połyskują w tym zielonym lesie jak klejnoty: białe, żółte, czerwone, niebieskie, fioletowe... A pomiędzy nimi żyją owady, niezliczone ilości owadów zajętych swoimi sprawami, nieustannie wędrujących we wszystkich kierunkach świata w sobie tylko znanym celu.

Tak się zapatrzyłem, że nie zauważyłem kiedy minąłem budynki, drobne kamyczki przestały szeleścić mi pod nogami i zagłębiłem się w trawę. Dostrzegłem kilka pospolitych motyli i biedronkę. Prawie wpakowałem się w sieć pająka. Nie przepadam za pajakami - to nie są owady, bo wszystkie owady mają sześć nóg, a pająki osiem i wyglądają nieco makabrycznie, ale to nie był byle pająk, tylko tygrzyk paskowany. Znałem go z mojej książki, bo w niej, na samym końcu, są też narysowane pająki. A ten tygrzyk jest naprawdę piękny jak na pająka - duży, żółty, w czarne „tygrysie” pasy. I tak jak prawdziwy tygrys też jest groźnym drapieżnikiem, postrachem zielonej dżungli którą dzieli z innymi owadami i pajakami.

Z zamyślenia wyrwały mnie głośne okrzyki. Wokoło zaroilo się od dzieciaków uzbrojonych w patyki. Otoczyli mnie z groźnymi minami.

- Brać go! - rzucił gromko jeden z nich, wyróżniający się czerwoną chustą zawiązaną na głowie. - Wpłynął bez pozwolenia na nasze wody terytorialne!

- Jakie wody? - jęknąłem. - To łąka...

Nikt mnie nie słuchał.

- Bierzemy go na pokład - rzucił ten w chustce. - Miejcie muszkiety w pogotowiu. Może być niebezpieczny.

- Wymierzili we mnie „muszkiety”. Najwyższy z nich przyłożył mi patyk do pleców i kazał ruszać.

- Mamy dobry wiatr! - mruknął inny. - Zaraz dobijemy do Krwawej Kocicy!

- Hej, o co tu chodzi? - zapytałem, maszerując z nimi w bliżej nieokreślonym kierunku. - Halo, ktoś mi odpowie?

- Milczeć! - skarcił mnie herszt. - Pogadamy na statku.

Statkiem okazał się stos sprężystych metalowych siatek ogrodzeniowych, leżących w trawie nieopodal kępy zarośli przypominającej wyspę. W siatki wetknięto pionowo długi drąg - to zapewne miał być maszt Krwawej Kocicy.

Bez protestów wszedłem na „pokład”. W głębi duszy trochę im zazdrościłem tego, że są tutaj razem i najwyraźniej dobrze się bawią. Stanęli przede mną półkolem, ten w chuście dokładnie naprzeciwko mnie.

- Twoja jednostka bez pozwolenia naruszyła nasze wody terytorialne! - rzekł uroczystym tonem. - Co masz na swoje usprawiedliwienie?

Bezradnie wzruszyłem ramionami.

- Myślałem... myślałem, że to zwyczajna łąka...

Na pokładzie zawrzało.

- Zła odpowiedź! - ryknął z oburzeniem herszt. - Nie przyjmujemy takiego tłumaczenia!

- To są bzdurne wymówki! - poparł go gruby chłopak, którego nazywali Kucharzem.

- Jak to bzdurne? - uniosłem brwi. - To czego wy chcecie?

- Musisz zrozumieć, że to nie przelewki. - Ten w chustce wziął się pod boki. - Trafiłeś w ręce piratów, mój drogi chłopcze. Pozostaniesz w niewoli, dopóki twoja rodzina nie zapłaci za ciebie okupu.

W tym momencie zacząłem się bać.

- Nie mogę być w niewoli - wyjąkałem. - Muszę wrócić do domu zanim mama przyjdzie z pracy.

- To może sam się wykupisz? - zaproponował Kucharz. - Zapłacić okup, to puścimy cię wolno.

- Ale ja nic nie mam...

- Naprawdę nic?

- Nic. Miałem klucz od domu, ale zgubiłem. - Zwiesiłem głowę.

Wszyscy piraci jakby trochę zmarkotnieli, tylko herszt nie stracił animuszu.

- Trudno - rozłożył ręce. - Zasady to zasady.

Dostrzegłem nieopodal ciężarówkę jadącą kamienistą drogą. Wiozła takie same siatki ogrodzeniowe jak te, na których staliśmy.

- Ta ciężarówka też naruszyła wasze wody terytorialne! - powiedziałem. - Ją również weźmiecie do niewoli?

- To wieloryb! - rzucił obojętnym tonem jeden z piratów. - Nie polujemy na wieloryby.

- Tak jest. - Przytaknął herszt. - Zresztą nasze wody terytorialne kończą się dokładnie tam, gdzie przebiega ten kamienisty szlak.

- Dobra, to co z nim robimy? - zniecierpliwiał się ktoś. - On chyba naprawdę nic nie ma.

- Niech się jakoś wykupi - zaproponował Kucharz. - Niech opowie fajną anegdotkę, albo pokaże jakąś sztuczkę.

Reszta poparła go z entuzjazmem. Herszt podrapał się po głowie.

- No dobra - powiedział do mnie. - Masz wolną rękę.

Zastanawiałem się przez chwilę.

- Nie znam żadnych anegdotek - powiedziałem. - Ani sztuczek. Ale za to wiem, jak się nazywa każdy owad na tej łące.

- Owad? - wycedził herszt i spojrzał na mnie spode łba. - Na łące?

- Znaczy... każda ryba w tym morzu! - poprawiłem się szybko.

- No... to już coś - mruknął ten wysoki. - Sprawdźmy go.

Opuściliśmy pokład w szalupie i przez kilka następnych minut krążyliśmy wokół okrętu wypatrując owadów, a ja opowiadałem im o każdym znalezionym gatunku. Trochę się obawiałem, że znajdziemy jakiegoś owada którego nie znam, ale okazało się, że jestem w tym lepszy niż się spodziewałem.

- Moszenica wierzbowka, dosyć liczna. Tryk klonowiec, bardzo ładny. Biedronka siedmiokropka. Osa pospolita. Grzebacz musznik. Wachlarzyk trawny. Łał, przyszczel lekarski! Pierwszy raz go widzę!

Patrzyli na mnie ze zdumieniem. W końcu herszt dał znak, że mam kończyć.

- Niesamowite! - rzekł z uznaniem Kucharz. - Myślę, że zasłużył na wolność.

Reszta go poparła. Tylko herszt kręcił nosem.

- A co, jeśli on to wszystko zmyślił? - rzucił gniewnym tonem. - Nie bądźcie naiwni. Ja też mogę powymyślać dziwne nazwy i udawać znawcę.

- To spróbuj - mruknął któryś z piratów.

- Proszę bardzo: Pryszcz... eee... Pryszcz trawowy. Pogrzebacz lekarski. Mucha pospolita. Mucha niepospolita. Yyy... bzyk lipowy. Wystarczy?

- Niczego nie wymyśliłem! - zachnąłem się. - Ja naprawdę znam się na owadach.

Ale ten w chustce najwyraźniej zasiał w ich głowach wątpliwość, bo nikt mnie nie poparł.

- Ja tego nie kupuję - warknął herszt. - Musi się wykupić inaczej.

Gorączkowo myślałem jak wydostać się z tej matni. Nagle mnie olśniło.

- Mam pomysł - oznajmiłem. - Powiesz mi kiedy dokładnie się urodziłeś, a ja powiem ci, jaki to był dzień tygodnia. Co ty na to?

- A skąd niby będziesz to wiedział?

- Mam swój sposób. To jak będzie?

- Dobra. - Wzruszył ramionami. - Siedemnasty lutego 2010 roku.

- Ok. - Zamknąłem oczy i zacząłem liczyć. Kiedy moją pasją były cyferki, znałem dużo takich sztuczek. - Już wiem. To była środa. Zgadza się?

Wydał pogardliwie usta.

- A ja wiem? Nie pamiętam przecież.

Ręce mi opadły. On tymczasem ciągnął:

- Znowu coś kombinujesz. Nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji, mój chłopcze. Jesteś w rękach piratów, tu chodzi o twoje życie. - Naraz się zreflektował: - No... może nie życie, ale o twoją... twoją przyszłość.

- W porządku. - Ożywiłem się. - Przyszłość. Rzućcie mi dowolną datę z przyszłości a ja wam powiem, jaki to będzie dzień tygodnia. Zgodna?

- A jak to sprawdzimy? - Herszt podrapał się po głowie.

- Kapitanie, mam telefon komórkowy! - poinformował jeden z piratów. Tam jest kalendarz na cały rok!

- Świetnie. - Herszt skinął głową. - Więc weźmy... powiedzmy piąty listopada.

- Ale jak dzień będzie się zgadzał, to puścicie mnie wolno! - zastrzegłem. - Bez żadnych dodatkowych warunków.

- Tak jest.

Zacząłem liczyć w myślach. Piąty listopada 2022 roku. Najpierw bierzemy dwie ostatnie cyfry roku, a więc 22. Dzielimy przez 4 i otrzymujemy 5,5. Pomijamy resztę po przecinku, zostaje nam 5. Wynik dodajemy do ostatnich dwóch cyfr roku: $5+22=27$. Teraz dodajemy dzień miesiąca: $27+5=32$. Dzielimy przez 7, otrzymujemy wynik 4,5. Zostawiamy to, co po przecinku - 5. Dodajemy liczbę miesiąca. Dla kolejnych miesięcy są to:

Styczeń: 6 (5 w latach przestępnych)

Luty: 2 (1 w latach przestępnych)

Marzec: 2

Kwiecień: 5

Maj: 0

Czerwiec: 3

Lipiec: 5

Sierpień: 4

Wrzesień: 4

Październik: 6

Listopad: 2

Grudzień: 4

Tak więc do naszej piątki dodajemy liczbę listopada: $5+2=7$. Dodajemy 1 i wynik dzielimy przez 7, ponownie zostawiając tylko resztę po przecinku: $7+1=8:7=1,14$. Liczba po przecinku to 14. Oznacza czternasty dzień tygodnia, licząc od niedzieli włącznie: niedziela, poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota, niedziela, poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota. Odpowiedź brzmi: sobota.

- Piąty listopada 2022 roku to będzie sobota - oświadczyłem nie bez dumy.

Gromadka piratów skupiła się wokół chłopca z telefonem. Dało się wyczuć napięcie. Chłopak podniósł głowę. Oczy miał okrągłe jak spodki.

- Zgadza się, sobota! - wykrzyknął.

Patrzyli na mnie jak na zjawę albo przybysza z kosmosu. Ten w chustce położył mi rękę na ramieniu i rzekł uroczystym tonem:

- Wykupiłeś się z pirackiej niewoli. Jesteś wolny, możesz odpłynąć w pokoju.

Podniosły nastrój zakłóciła gromadka dzieciaków, która wypadła z krzaków kilkadziesiąt metrów od Krwawej Kocicy. Wyjąc i pohukując niespodziewani goście pędzili ławą w naszą stronę.

- To Rączy Ślimak i jego ludzie! - krzyknął herszt piratów. - Do broni!

Zaczęła się nerwowa krzątanina. Uzbrojeni w „muszkiety” piraci wybiegli naprzeciw napastnikom. Zatrzymałem Kucharza, kiedy mnie mijał.

- Co się dzieje?

- Indianie atakują! - odparł. - Lepiej stąd znikaj, jeśli chcesz zachować skalp.

Indianie? - Osłupiałem. - Na morzu?

Wzruszył ramionami i pognął za resztą kompanów.

Wziąłem nogi za pas.

Zaprzyjaźniam się ze Szczurem

Wracałem tą samą drogą, którą dotarłem do pirackiego okrętu, tyle że znacznie szybszym tempem. Zdyszany dobiegłem do torowiska. Przed sobą ujrzałem wąską uliczkę z olchami po obu

stronach i chociaż mam kiepską orientację w terenie, to jednak wiedziałem, że już tędy szedłem. Mogłem pójść dalej, prosto do wielkiej, hałaśliwej ulicy pełnej samochodów, ale nie uśmiechał mi się taki scenariusz.

Stałem na przejeździe kolejowym i rozglądałem się w poszukiwaniu innej drogi prowadzącej do domu, choć przecież nie wiedziałem nawet w którym kierunku powinienem iść, aby trafić na osiedle. Nitki torów wiły się w niskiej rudawej trawie jak węże i znikwały na horyzoncie po dwóch stronach świata. Wzdłuż nich, zza szpaleru drzew prześwitywały miejskie zabudowania.

Miałem do wyboru: zawrócić - ale wtedy czekało mnie najpewniej ponowne spotkanie z piratami (ewentualnie Indianami); iść prosto do wielkiej ulicy, iść w lewo, iść w prawo. Dwie ostatnie możliwości były wyprawą w nieznaną, ale tam przynajmniej istniała szansa, że trafię w jakieś przyjemne miejsce, co odpadało przy opcjach numer jeden i dwa. Najchętniej dokonałbym wyboru rzucając monetą, ale nie miałem przy sobie monety, więc po prostu poszedłem w lewo.

Maszerowałem po torze kolejowym z wzrokiem wbitym pod nogi, stawiając stopy na drewnianych podkładach. Przez jakiś czas wyobrażałem sobie, że to schody, a metalowe szyny po bokach to poręcze, ale później przyszło mi do głowy, że tory bardziej przypominają most, taki jak w filmach przygodowych: zbudowany z drewnianych deseczek połączonych linami, zawieszony nad bezdenną przepaścią. Miałem atak paniki, strach zacisnął się na mojej szyi jak żelazna obręcz kiedy pomyślałem, że tory nie mają końca i będę tak szedł aż umrę, ale wówczas usłyszałem znajome cykanie owadów w trawie i lęk minął.

Uniosłem na moment głowę i ujrzałem, że z naprzeciwka ktoś nadchodzi. To było śmieszne, bo wyglądał trochę jak moje lustrzane odbicie. Początkowo zdawał się nie większy niż mrówka, w miarę jednak jak zbliżaliśmy się do siebie rósł i dostrzegłem, że jest to chłopiec trochę mniejszy ode mnie, chudziutki, o wymizerowanej twarzy z której sterczał długi nos. Spod czapki z daszkiem opadały mu na ramiona niesforne kosmyki czarnych włosów, przypominające trochę krucze skrzydła. Przez ramię przewieszony miał wyblakły chlebak.

- Hej! - Pozdrowił mnie uniesioną dłonią. - Dokąd wędrujesz?

- Nie wiem - odparłem. - W sumie chyba się zgubiłem. A ty?

- Aha! Jesteś nietutejszy. Inaczej nie mógłbyś się tutaj zgubić. - Podał mi rękę. - Jestem

Szczur.

- Szczur? - zdziwiłem się. - To imię?

Roześmiał się.

- Nie, no co ty. Tak mnie tylko nazywają.

- I ty... ty się nie obrażasz?

- A czemu miałbym się obrażać? - Wzruszył ramionami. - Szczury są inteligentne i potrafią zawsze odnaleźć drogę, nawet w najbardziej skomplikowanym labiryncie. Są odważne i uwielbiają wędrować w miejsca, w które inni wolą się nie zapuszczać. Lubię szczury.

- Ja jestem Dawid. - Przedstawiłem się. I coś mnie podkusiło, żeby dodać: - I lubię owady.

Ale Szczura w ogóle to nie zdziwiło. Klepnął mnie dłonią w plecy i powiedział:

- Fajnie! Wiesz co, Dawid, skoro jesteś nietutejszy, to chodź ze mną. Oprowadzę cię po okolicy. Znam tu każdy kąt.

Bardzo chciałem z nim iść, ale bałem się, że będziemy zwiedzać miasto, a nie chciałem znowu zanurzyć się w ulicznym hałasie. Powiedziałem mu, że lubię ciszę, a wtedy on mnie uspokoił:

- Brachu, to tak jak ja! Nie mam zamiaru iść z tobą do miasta. Moje królestwo jest tutaj, przy torach.

Poszedłem więc za nim i tak trafiliśmy na bocznice, czyli, jak mi wytłumaczył, taki boczny tor, po którym prawie nigdy nie jeżdżą pociągi. Stały tam na porzewiałych kołach stare wagony, które skojarzyły mi się ze szkieletami wymarłych dinozaurów. Niektóre miały powybijane szyby, a z dziurawych foteli kipiała gąbka. Był tam też dziwny żółty pojazd - ni to ciężarówka, ni to dźwig. Aby wejść do kabiny, trzeba było wspiąć się po metalowej drabince. Szczur powiedział, że ten pojazd nazywa się drezyna. Nieopodal stało kilka przysadzistych budynków. Miały wyblakłe fasady w pastelowych barwach i mnóstwo okien. Bałem się, że ktoś stamtąd zobaczy, że weszliśmy do tej drezyny i spytałem o to Szczura, ale on tylko machnął dłonią.

- Nie martw się. Tu prawie nigdy nikogo nie ma. Tylko przy przejeździe kolejowym, w takiej niedużej budce siedzi drużnik, który zamyka i otwiera rampy kiedy jedzie pociąg, ale nasze miasteczko leży na uboczu i przejeżdżają tędy najwyżej dwa, trzy pociągi dziennie. Kiedyś te budynki były pełne ludzi, ale już prawie nikt tutaj nie pracuje. Jest jeszcze kilka osób w budynku dworca kolejowego, ale to kilometr stąd.

Spytałem go, skąd wie tyle o kolei, a on mi powiedział, że jego tata jest maszynistą i jeździ pociągiem.

- Zawsze, kiedy przyjeżdża ostatni wieczorny pociąg, o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć, idę na dworzec i czekam na tatę. Skoro lubisz ciszę, powinieneś przyjść tam kiedyś wieczorem. Poczekalnia jest wysoka jak katedra i prawie pusta. Jest tam tak cicho, że każdy szept zdaje się płynąć w powietrzu wolno jak dym. Na torach świeci mnóstwo kolorowych światełek, niczym lampki na choince. Powinieneś to zobaczyć.

Odparłem, że chętnie to zobaczę i że na pewno wybiorę się na ten dworzec, jeśli tylko będę miał okazję. Przypomniałem sobie, że już raz tam byłem: kiedy z mamą przyjechaliśmy pociągiem do tego miasteczka. Ale to było za dnia i nie widziałem żadnych światełek, a poczekalnię wypełniał gwar, bo razem z nami przyjechało pełno nastolatków z plecakami.

Szczur zapytał, czy mam ochotę na jabłko. Zaburczało mi w brzuchu. Powiedziałem mu, że owszem, mam ochotę; problem w tym, że nie jestem w stanie zjeść jabłka ze skórki. Bardzo go to zdziwiło. Wytłumaczyłem mu więc, że nic na to nie poradzę, tak jak na to, że nie potrafię zjeść niektórych dań, jeśli dwa składniki stykają się na talerzu, albo mają nieodpowiedni kolor, albo dziwnie pachną. A wszystko przez ten Zespół Aspergera, który opanował moje zmysły jak jakiś dziwny pasożyt.

- Mama mówi, że ludzie z Zespołem Aspergera nie są wcale gorsi od innych - powiedziałem z goryczą. - Ale mnie się wydaje, że jest inaczej. Mam przez ten Zespół same kłopoty, a żadnych korzyści.

Na to Szczur odparł, że nie ma sprawy, obierze mi jabłko ze skórki. Wyciągnął z chlebaka dwa jabłka i scyzoryk, obrał mi jedno i obaj zjedliśmy po jabłku.

Później leżeliśmy na wznak na drezynie i Szczur opowiadał mi o sobie. O tym, że przychodzi tutaj codziennie i bawi się w samotnego kowboja, przemierzającego Dziki Zachód konno, albo drezyną.

- Na Dzikim Zachodzie mieli inne drezyny - mówił. - Napędzane ręcznie. Trzeba było pompować taką wajhą, żeby drezyna jechała.

Spytałem go, czy nie przeszkadza mu to, że bawi się sam. Ja też ciągle jestem sam, a chciałbym mieć kogoś, z kim mógłbym się pobawić, albo chociaż porozmawiać. Ale Szczur odparł, że jemu samotność nie przeszkadza.

- Wolę bawić się sam, niż w towarzystwie kogoś, kto mnie nie rozumie. Czasem wyobrażam sobie, że mam przyjaciela i podróżujemy razem.

Kiedy tak leżeliśmy, machając nogami nad ziemią, zapatrzeni w błękitne niebo po którym płynęły obłoki, faktycznie można było odnieść wrażenie, że nasza drezyna pędzi po szynach.

- Nie martw się - powiedział Szczur. - Dasz sobie ze wszystkim radę, jeśli tylko uwierzysz w siebie. Każde twoje marzenie może się spełnić.

W tym momencie nie miałem wielkich marzeń. Zazdrościłem mu tego, że jest tak samodzielny i zaradny, że przychodzi tu sam kiedy tylko ma ochotę i bez błędzenia wraca do domu. I tego, że, jak mi powiedział, na torowisku zawsze wie bez zegarka która jest godzina, bo w każdym miesiącu słońce znajduje się w tym samym miejscu o określonej porze. Przy nim czułem się jak niezdarny dzidzius, który dopiero co wydostał się z wózka.

- Lubisz westerny? - spytał. - Ja uwielbiam.

- Co to są westerny?

- Takie filmy. O Indianach i kowbojach. Takie... bajki dla dorosłych.

- Skoro dla dorosłych, to czemu je oglądasz?

- Dorośli za nimi nie przepadają... Nie potrafię tego wytłumaczyć. - Urwał na moment, po czym podjął: - Są tam zawsze czarne charaktery i pozytywny bohater, który ratuje dobrych ludzi, albo miasto. Westerny przeważnie dobrze się kończą, jak to bajki.

- Nie rozumiem. Jak charakter może być czarny? - Próbowałem to sobie wyobrazić. - Czy charakter może mieć kolor? Na przykład człowiek, który często się gniewa, mógłby mieć czerwony charakter, bo kiedy ktoś się złości, to czerwienieje na twarzy. A jak ktoś jest wiecznie smutny, to chyba ma szary charakter. Szary kolor jest smutny.

Szczur uśmiechnął się.

- Masz rację. Ale chodziło mi o to, że w westernach są źli i dobrzy ludzie, i zawsze wygrywają dobrzy. Dlatego lubię westerny.

- W takim razie ja też je lubię.

- Jesteś dobrym człowiekiem - powiedział. - Dlatego wygrasz.

- Dziękuję ci... Chciałbym w to wierzyć.

- Musisz wierzyć w siebie. Jest taki aktor, który często gra w westernach, nazywa się Clint Eastwood. Kojarzysz?

Pokręciłem głową.

- On nie miał dużego talentu do aktorstwa. A dziś jest jedną z największych ikon w historii kina.

- Jak to możliwe? - Uniosłem wysoko brwi.

- Miał marzenia i wierzył w siebie. Kiedy był początkującym aktorem, wstydził się występować przed kamerą. Na co dzień był wyluzowany, a jak tylko ktoś włączył kamerę, mówił zduszonym głosem, jakby miał w gardle żwir. Ale nigdy się nie przyznał, że ma z tym problem. Ten głos stał się jednym z jego znaków rozpoznawczych. Ze swojej wady uczynił atut. Ale to jeszcze nic: do tego wszystkiego Clint Eastwood ma tylko jeden wyraz twarzy. Co to za aktor, co ma jeden wyraz twarzy?

- Serio?

- Tak. A przecież aktor powinien umieć udawać różne postacie. Musi się zmieniać jak kameleon. A on ma jeden wyraz twarzy i chrapliwy głos. I został jednym z największych aktorów na świecie.

- Nie rozumiem - powiedziałem. - Jak mu się to udało?

- Kiedy wierzysz w siebie, cuda się zdarzają - odparł. - Bądź jak Clint Eastwood. Trzymaj fason, a wszystko będzie dobrze.

Docieram do parku, gdzie dokonuję makabrycznego odkrycia

i spotykam starego znajomego

Później leżeliśmy jeszcze jakiś czas na dreźnie, a ja próbowałem podtrzymać rozmowę. Wyglądało to mniej więcej tak:

- Na świecie jest dwanaście tysięcy gatunków mrówek - oznajmiłem.
- To strasznie dużo - mruknął Szczur.

Cisza. Przeleciała osa.

- Na świecie jest piętnaście tysięcy gatunków os - poinformowałem.
- Mhm. To jeszcze więcej niż mrówek. Myślałem, że mrówek jest więcej.
- Bo samych mrówek chyba jest więcej, niż os. Tylko gatunków jest mniej.
- Aha, okej.

Cisza. Przyleciała mucha, usiadła mi na nosie. Odpędziłem ją.

- Wiesz, że na świecie jest sto dwadzieścia tysięcy gatunków much?
- Rany. To więcej niż os i mrówek razem.
- Dużo więcej. - Cisza. - O dziewięćdziesiąt trzy tysiące gatunków więcej.

Cisza.

- Mucha macha skrzydełkami dwadzieścia tysięcy razy na minutę - oświadczyłem.
- Kurde. - Szczur przymknął oczy. - Nie potrafię sobie tego wyobrazić.
- Nie musisz sobie wyobrażać. Dwadzieścia tysięcy to dwadzieścia tysięcy. Zawsze.

Dlatego lubię liczby. Są konkretne. Zamiast wyobrażać sobie muchę machającą skrzydełkami, widzę liczbę. - Nie odpowiedział, więc ciągnąłem: - Ja nie potrafię sobie wyobrazić czego innego. Na przykład jak ktoś mi mówi, że bardzo lubi kanapkę z szynką, to niewiele dla mnie znaczy. Ile to jest „bardzo”? Wolałbym, żeby powiedział: „W skali od 0 do 10 lubię kanapkę z szynką na 8.

- Lubię westerny na 10 - powiedział sennym głosem Szczur.

Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu.

- Jak oni to zmierzili? - zapytał.
- Kto?
- No ci, co zmierzili te uderzenia skrzydeł muchy.
- Nie wiem.

Cisza. Zastanawiałem się, co jeszcze powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Postanowiłem więc, że to właśnie powiem.

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Przepraszam...
- Za co przepraszasz? - zdziwił się.
- Chcę z tobą rozmawiać, żebyś się przy mnie nie nudził. Chcę żebyś mnie lubił. Zawsze miałem kolegów tylko na chwilę, bo albo nudziło ich to, co mówiłem, albo nudziło ich to, że milczę.

- To nie byli dobrzy koledzy. - Szczur otworzył oczy i spojrzał na mnie poważnie. - Nie przejmuj się. Nie musisz nic mówić, jeśli nie masz ochoty. Cisza też może być fajna.

Zrobiło mi się dziwnie ciepło w serce.

Leżeliśmy więc na dreźnie w ciszy przerywanej tylko śpiewem ptaków i bzyczeniem owadów i to była fajna cisza. A potem wróciłem myślami do zgubionego klucza i nastrój mi się popsuł.

- Muszę już iść - powiedziałem siadając.

Umówiliśmy się, że koniecznie musimy się znowu spotkać jak najszybciej, na torowisku albo w poczekalni na dworcu kolejowym. Szczur uparł się, że odprowadzi mnie chociaż kawałek.

- Nie musisz iść do tej wielkiej ulicy, jeśli nie chcesz. Pokażę ci inną drogę.

Zgodziłem się i ruszyliśmy wzdłuż torów.

- Tu niedaleko jest park, a w nim prawdziwy zamek - mówił Szczur. - Stary i naprawdę olbrzymi. Musisz go zobaczyć. No i jest tam cicho i spokojnie, na pewno ci się spodoba.

Popatrzył w górę i powiedział:

- Niedługo przejedzie pociąg, musimy uważać.

I rzeczywiście, nie minęło pięć minut, jak usłyszeliśmy charakterystyczny stukot kół pociągu. Odeszliśmy kawałek od torów i poczekaliśmy aż przejedzie. Musiałem zatkać uszy kiedy nas mijał.

- Skąd wiedziałeś, że pojedzie pociąg? - zapytałem po tym, jak podjęliśmy marsz.

- Znam rozkład jazdy - wyjaśnił Szczur. - Mówiłem ci, że bardzo mało pociągów tu jeździ. Dzisiaj jest poniedziałek, a w poniedziałki zawsze jedzie pociąg o siedemnastej piętnaście.

- No dobrze, a skąd wiedziałeś, która jest godzina? Przecież nie masz zegarka.

- Przychodzę tu od lat, niemal codziennie. Zawsze wiem mniej więcej, która jest godzina.

Rozpoznaję po położeniu słońca, po tym jak układają się na torach cienie drzew.

Nadszedł czas rozstania. Szczur pokazał mi ścieżkę biegnącą przez zarośla i powiedział, żebym się nie martwił tylko szedł prosto, a za niecałą minutę będę w parku i zobaczę zamek, po czym pożegnaliśmy się jak starzy przyjaciele i ruszyłem samotnie w dalszą drogę.

To miasto jest strasznie dziwne, ale fajne. Wszędzie pełno tu drzew i zarośli, a wokół wznoszą się te wzgórza. Jest też mnóstwo mniejszych wzniesień i pagórków, na których stoją domy i wiją się uliczki. To o wiele ciekawsze niż płaskie jak patelnia miasto, w którym mieszkałem wcześniej.

Bardzo polubiłem Szczura. I on chyba też mnie polubił. Udało mi się nie zrazić go w żaden sposób do siebie, co nie jest dla mnie łatwe, nawet kiedy się pilnuję. Pinokio z książki miał swojego Mówiącego Świerszcza który podpowiadał mu jak powinien się zachować. Dawał mu same dobre rady, a Pinokio nigdy go nie słuchał. Ile ja bym dał za takiego Świerszcza! Moim Mówiącym Świerszczem jest Zespół Aspergera, tyle że on zawsze kusi mnie, żebym zrobił coś złego. Czasem nawet podejmuje decyzje za mnie i nie daje mi wyboru. To dlatego mama czasem mówi, że najpierw robię, a potem myślę. Dawniej tata często zabierał mnie na spacer. Szliśmy przeważnie na plac zabaw, czasem nad rzekę. Zdarzało się, że jakieś dziecko przez przypadek obsypało mnie piaskiem, albo ochlapało wodą. Wtedy mój Świerszcz wołał mi do ucha: „Sypnął w ciebie piachem, musisz sypnąć w niego dwa razy mocniej!”. Albo: „Ochlapała cię wodą, ochlap ją bardziej!”. Zawsze to samo. „Daj mu nauczkę! Nie daj sobą pomiatać! Pokaż kto tu rządzi! Kopnij, ściśnij, udrap”!

Takie rady dawał mi mój Świerszcz. Kiedyś nawet popchnąłem w szkole panią od matematyki, bo Świerszcz powiedział mi do ucha, że pani broni winnego, a mnie chce ukarać, chociaż nie zrobiłem nic złego. Miałem wtedy straszne kłopoty. A wszystko przez to, że naprawdę byłem niewinny, a tamten łobuz zniszczył szkolną szafkę i zwałił winę na mnie. Nigdy nie potrafiłem się bronić, zresztą dorośli nigdy nie wierzą w to, co do nich mówię, chociaż ja nigdy nie kłamię. Dlatego zawsze to ja jestem winny. Byłem świetną wymówką dla innych chłopaków.

Tata zawsze kajał się przed rodzicami dzieci, które skrzywdziłem. Przepraszał, tłumaczył, że mam Zespół Aspergera. Był cały czerwony na twarzy i nie wiedział gdzie oczy podziać. Mimo to i tak większość dorosłych uważała mnie za pospolitego łobuza. Niektórzy pouczali mojego tatę, że powinien się mną zająć, zamiast usprawiedliwiać każdy mój zły uczynek. A ja się nie zmieniałem i w końcu tata przestał ze mną wychodzić gdziekolwiek.

Rodzice tłumaczyli mi w kółko, jak mam się zachować, kiedy ktoś sypnie we mnie piaskiem, albo ochlapie mnie wodą. Mówili, że to zdarza się najczęściej przez przypadek, więc

nie powinienem się gniewać ani wymierzać kary na własną rękę. Wydawało mi się, że to rozumiem, ale potem znowu sytuacja się powtarzała, bo do głosu dochodził mój Świerszcz. A czasem, jak już wspominałem, nawet do mnie nie mówił, tylko podejmował decyzję za mnie i ręka sama mi się podnosiła, żeby kogoś uderzyć. Nawet nie zdążyłem się zastanowić co robię. Rodzice powtarzali mi: myśl o dobrych rzeczach! Ale ja zupełnie nie panuję nad swoimi myślami. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale czasem mam wrażenie, że to rzeczy myślą o mnie.

To mi przypomina o pewnym pasożycie, o którym czytałem w jednej książce o owadach. Ten pasożyt nazywa się przywra i jego celem jest przedostanie się z ziemi do przewodu pokarmowego ptaka, bo tylko tam może się rozmnażać. Więc najpierw wchodzi do ślimaka, a potem robi mu bałagan w głowie i namawia do największego głupstwa, jakie może zrobić ślimak: do wyjścia na najwyższą łodygę trawy albo gałąź, gdzie będzie doskonale widoczny dla ptaków. I biedny ślimak, bezwolny jak robot, wychodzi na gałązkę i czeka. Na dodatek przywra sprawia, że jego czułki upodabniają się do gąsienic, co wygląda nader apetycznie dla ptaka. Ptak przylatuje i zjada ślimaka. Pasożyt osiąga swój cel. Mój Świerszcz jest chyba takim pasożytem. Przez niego robię głupie rzeczy, rzeczy, które mi szkodzą. Tylko nie wiem tylko jaki ma w tym cel.

Tak rozmyślając przemieszczałem się wąską ścieżką przez zarośla. Już widziałem niedaleko parkowe aleje i masywną sylwetkę zamku. Odgarnąłem na bok ostatnie gałązki, które próbowały wczepić mi się w ubranie i nagle coś niezwykle przykuło moją uwagę.

Na kolczaste gałęzie głogu ktoś ponadziewał owady. Na każdy cień przypadał jeden martwy owad, przebity na wylot.

Pociemniało mi w oczach. Strach złapał mnie za gardło. Kto mógł zrobić coś tak wstrętnego? Wiele rzeczy przstraszyło mnie tego dnia, ale to wszystko było niczym w porównaniu z przerażeniem, jakie ogarnęło mnie teraz. Byłem pewien, że w pobliżu znajduje się ktoś bardzo, bardzo zły, i być może właśnie przygląda mi się z ukrycia.

Na drżących nogach pośpiesznie pokonałem resztę dystansu dzielącego mnie od parku. Usiadłem na ławce i próbowałem się uspokoić. Prawie wszystko było tu większe niż gdzie indziej, jakby ten fragment świata zaprojektowano dla olbrzymów: drzewa sięgały niemal do chmur płynących po niebie i miały pnie tak grube, że aby je objąć, trzeba by ze czterech takich chłopców jak ja, trawnik rozmiarami przypominał boisko futbolowe, a i tak większa jego część niknęła w cieniu zamczyska, który wznosił się aż nad korony drzew. Nawet złote rybki w stawie przy którym siedziałem, choć przypominały te akwariowe, były od nich z dziesięć razy większe i bez trudu mogłem sobie wyobrazić, że gdybym włożył rękę do wody, taka ryba mogłaby capnąć ją w paszczę aż po sam łokieć.

Alejkami spacerowali ludzie. Zaledwie garstka: jakaś młoda para z wózkiem dziecięcym i druga, z dużym psem na smyczy. Staruszek z aparatem fotograficznym na szyi. Pani w białym kapeluszu. A nieco dalej, niemal przy samym zamku, stała samotna postać oparta o drzewo - postać, która wydała mi się dziwnie znajoma...

Przez ten cały Zespół Aspergera miewam trudności z rozpoznawaniem twarzy, jeśli się komuś dobrze nie przyjrzę, albo nie znam dłużej. Widzę szczegóły, ale nie potrafię połączyć ich w całość. Jednak chłopca opartego o drzewo rozpoznałem od razu - może dlatego, że kiedy widziałem go poprzednio, tak jak i teraz miał w ręku notes i co rusz coś w nim notował. To był chłopak, z którym zamieniłem kilka słów, zanim zapuściłem się na nieznane mi tereny za garażami, na początku mojej wyprawy. Ten, który pożegnał mnie słowami: „ruszaj w drogę, Bilbo!”.

Z jakiegoś powodu jego obecność tutaj wydała mi się podejrzana i natychmiast powiązałem ją z makabrycznym znaleziskiem w zaroślach. Postanowiłem go śledzić.

Wysłuchuję historii mrożącej krew w żyłach

Kryjąc się za drzewami, podkradałem się coraz bliżej chłopca z notesem. Kiedy znalazłem się kilka metrów za nim, zrozumiałem, że i on kogoś śledzi: z miejsca w którym stał, miał dobry widok na kawiarenkę na tyłach zamku. Pod parasolami, przy stolikach siedziało tam kilka osób. Chłopak przyglądał się im z oddalenia, ukryty częściowo w cieniu drzewa.

Przez kilka chwil obserwowałem jak obserwuje i zastanawiałem się, czy i ja nie jestem obserwowany jeszcze przez kogoś, co wydało mi się nawet dość zabawne. Nagle chłopak rzucił przez ramię:

- Oszczędź sobie fatygi i wyjdź zza tego drzewa. Już dawno cię zauważyłem.

Aż mi się włosy zjeżyły na karku. Ale co miałem robić? Nie było sensu dłużej się ukrywać, więc wyszedłem czerwony ze wstydu i wciąż odrobinę przerażony.

- Proszę, proszę, oto i nasz Bilbo! - rzekł chłopak, odwracając się w moją stronę. - Kiepsko się skradasz, jak na Hobbita.

Nic nie powiedziałem, tylko poczułem, że jeszcze bardziej się czerwienię.

- Czemu mnie śledzisz? - zapytał. Przyjrzał mi się uważnie, jakby nagle dostrzegł coś niezwyklego w mojej twarzy. - Hej, wszystko dobrze? Wyglądasz jakbyś zobaczył ducha. Nie bój się, nic ci nie zrobię.

- Nie boję się - burknąłem, choć gardło miałem ściśnięte strachem.

- Chodź no tutaj bliżej - zachęcił mnie. - Pogadamy.

Zrobiłem kilka kroków w jego stronę.

- Stań tu, przede mną - powiedział. - Tak, żebyś mógł mieć na oku tamtego typka. - Pokazał podbródkiem w stronę kawiarenki.

- Kogo śledzisz? - zapytałem.

- Może później ci powiem. Najpierw ty mi powiedz, dlaczego śledzisz mnie.

- Tam... w krzakach. - Na samo wspomnienie wzdrygnąłem się nerwowo. - Znalazłem owady nabite na ciernie. Myślałem... myślałem, że to twoja robota.

Odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem.

- Bilbo... I te owady nabite na ciernie napędziły ci takiego stracha?

- Ciebie to śmiesz? - spytałem chłodnym tonem. - Bo mnie zupełnie nie. I jeśli to nie ty zrobiłeś, to...

- Natknąłeś się na spizarnię dzierzby - przerwał mi.

- Na spizarnię czego? - spytałem zbity z tropu.

- Dierzby. Dzierzba to ptak. Łapie owady i nadziewa na ciernie, żeby mieć pod ręką pokarm, kiedy zgłodnieje.

- Serio? - rozdziawiłem usta. - Skąd wiesz?

- Tak się składa, że obserwuję ptaki i nieźle się na nich znam. Takie hobby. Ale nawet gdyby to zrobił człowiek, to jeszcze nie jest powód, żeby trząść portkami. To tylko parę robaczek...

- Nie parę robaczek, tylko kowal bezskrzydły, świtezianka błyszcząca, skoreczek żółty! - zdenerwowałem się. - Zaciemka, leń marcowy, ścierwnica mięsówka. Hurtnica pospolita.

Teraz to jemu opadła szczęka.

- Co... skąd...

- Tak się składa, że ja obserwuję owady - oznajmiłem z godnością.

Popatrzył na mnie okrągłymi oczami, po czym jeszcze raz się roześmiał.

- Dobry jesteś, Bilbo! - Wyciągnął do mnie rękę. - Jestem Marko.

- Marko? - zdziwiłem się, podając mu dłoń. - Nie wiedziałem, że jest takie imię.

- Oczywiście, że jest, ale nie w Polsce. To ukraińskie imię.
- Jesteś z Ukrainy? To... to chyba daleko?
- Nie tak bardzo daleko.
- Świetnie mówisz po polsku - pochwaliłem go. Z zadowoleniem skinął głową.
- Jestem tu już prawie rok, poza tym szybko się uczę. Lubię słowa. Ciągłe coś piszę, jak już pewnie zauważyłeś. - Pokazał mi notes. - Tak w ogóle, chciałbym kiedyś zostać pisarzem.
- Pisarzem? Takim, co pisze książki?
- A to można innym? - zdziwił się. - No... takim jak Tolkien.
Nie słyszałem o takim pisarzu, ale postanowiłem na razie zachować to dla siebie.
- Napisałeś już kiedyś jakąś książkę?
- Ciągłe coś piszę - powtórzył. - Napisałem kupę rozmaitych historii. Lubisz czytać książki?
- Nie bardzo. Lubię jak ktoś mi czyta, ale sam... - Pokręciłem głową. - Chyba że chodzi o wyszukiwanie informacji. Wtedy książki się przydają. Ale i tak lepszy jest Internet. W Internecie jest wszystko.
- To prawda. Ale to oznacza, że oprócz wartościowych rzeczy jest tam też mnóstwo bzdur i innych śmieci. Jak masz na imię?
- Dawid.
- Dawid. Bardzo ładnie. Dawid pokonał Goliata. Ale ja wołałbym na ciebie mówić Bilbo. Masz coś przeciwko temu?
Wzruszyłem ramionami.
- Może być Bilbo.
- No to załatwione. Bilbo. Czy jesteś gotów wysłuchać historii o czymś, czego naprawdę można się przestraszyć? O czymś znacznie gorszym niż spizarnia dzierzby?
- Czy to jedna z twoich wymyślonych historii?
Pokręcił głową.
- Nie. Tej historii akurat nie wymyśliłem.
- No to nie wiem, czy chcę ją usłyszeć - oznajmiłem. - Jest już wystarczająco dużo rzeczy, których się boję. Nie potrzebuję kolejnej.
Popatrzył na mnie uważnie.
- Czego się boisz, Bilbo? - spytał. - Oprócz owadów nadzianych na ciernie?
Wzruszyłem ramionami.
- Na przykład... na przykład boję się, że spadnę z balkonu, chociaż barierka sięga mi prawie do szyi. - Zwiesiłem głowę i wbiłem wzrok w stopy. - Albo... albo... Właściwie... boję się wszystkiego.
- Dlaczego? - Marko jakby posmutniał. Zdjął z nosa okulary i zaczął przecierać szkła, nie spuszczając ze mnie badawczego spojrzenia.
- Bo mam Zespół Aspergera.
- Zespół Aspergera? Co to znaczy?
- To znaczy, że jestem głupi - burknąłem z przekorą.
Mina mu spoważniała. Milczał przez chwilę.
- Nie gadasz, jakbyś był głupi - powiedział w końcu.
Znowu zrobiło mi się ciepło w serce.
- Uśmiechasz się - zauważył.
- Nie uśmiecham się.
- Uśmiechasz. Ale nie ustami, tylko tak jakby w środku.
- Skoro w środku, to skąd o tym wiesz?

- Widzę w twoich oczach.

Nie mogłem się dłużej powstrzymać i faktycznie się uśmiechnąłem. Nie „w środku”, tylko normalnie, ustami. Marko też odpowiedział uśmiechem.

- To dlatego wtedy na osiedlu spytałeś mnie, czy tam jest bezpiecznie - przypomniał sobie. - Stałeś między garażami i zastanawiałeś się, czy iść dalej. A teraz jesteś tutaj, cały i zdrowy, z tego co widzę. Przeszedłeś kawał drogi. Dałeś sobie radę. - Położył mi rękę na ramieniu. - Jesteś mądrzejszy i odważniejszy niż przypuszczasz.

Nikt poza rodzicami nigdy tak do mnie nie mówił. Było mi bardzo przyjemnie i zarazem czułem się lekko skrępowany.

- Co do strachu - ciągnął Marko. - To właśnie ten jest głupi, co się nigdy nie boi. A ty może po prostu boisz się nie tego, co trzeba.

- Zgubiłem się - powiedziałem cicho. - Najpierw zgubiłem klucz... albo pies mi ukradł. Potem sam się zgubiłem i nie umiem trafić do domu. A wcześniej zgubił się mój tata. - Powtórzyłem mu to, co kiedyś o tacie powiedziała mi mama.

- Twój tata na pewno kiedyś się znajdzie - odparł. - A mój jest na wojnie. Walczy ze złymi ludźmi, którzy napadli na nasz kraj i może nigdy nie wrócić.

Nic nie odpowiedziałem, bo to było strasznie smutne i nie wiedziałem jak mógłbym go pocieszyć.

- Pomogę ci szukać klucza i odprowadzę cię na osiedle, jeśli chcesz - uśmiechnął się Marko. - Ale teraz muszę dokończyć pewną sprawę, a ty mógłbyś mi pomóc. Ale dobrze się zastanów, bo ta sprawa wiąże się z dość przerażającą historią, o której wcześniej wspomniałem.

- Chcę ci pomóc.

Skinął głową.

- Dobrze. Bardzo się cieszę. Pytałeś mnie, kogo śledzę... Widzisz tego mężczyznę przy stoliku, o tam?

Podążyłem wzrokiem za jego palcem, w stronę kawiarenki.

- Tego z gazetą?

- Nie. Dalej, przy ostatnim stoliku. Zwalisty facet z sumiastym wąsem.

Teraz wiedziałem o kim mówi. Mężczyzna miał posturę niedźwiedzia. Ubrany był w sztruksowe spodnie i czerwoną kraciatą koszulę. Spod podwiniętych rękawów wystawały owłosione przedramiona, masywne jak bukowe pniaki.

- O rany, ale duży gość - mruknąłem pod nosem.

- Duży? On nie jest duży. Jest ogromny. - Popatrzyłem na Marko skonsternowany. - No co? Czemu tak patrzysz?

- Nie rozumiem - powiedziałem. - Najpierw mówisz, że nie jest duży, a zaraz potem, że jest ogromny. Przecież to się wzajemnie wyklucza.

On też wyglądał na skonsternowanego.

- Mniejsza z tym. Jest duży, wielki, ogromny, zwał jak zwał. Obaj widzimy, że nie jest karzełkiem. - Uśmiechnął się. - Ale zacznę od początku. Na trop tej historii wpadłem przypadkiem. A było to możliwe dzięki moim dwóm pasjom: pisarskiej i ornitologicznej.

- Ornito... Co to znaczy?

- Ornitologia to nauka o ptakach. Miałem na myśli to, że interesują mnie ptaki.

Skinąłem głową. Marco mówił dalej:

- Oprócz tego, że obserwuję ptaki, szukam ciekawych historii do opowiedzenia, a raczej do opisania. To nie muszą być prawdziwe historie, ale muszą zawierać ziarno prawdy. No i muszą być ciekawe. Z odrobiny prawdy i czegoś ciekawego pisarz może wyczarować piękną opowieść.

- I ty znalazłeś coś takiego?

- Nie tym razem. Ale po kolei: Najpierw przeczytałem w gazecie, że w okolicy znikają dzieci. Rok temu zaginęła bez śladu dwunastoletnia dziewczynka. Nie z naszego miasta, ale mieszkała niedaleko. Kilka miesięcy później zniknął ośmioletni chłopczyk, również tu, w okolicy. A w końcu i tutaj, u nas zaginęło dziecko, miesiąc temu. Ktoś powiązał ze sobą te sprawy i napisał w gazecie, że w okolicy działa sekta, która porywa dzieci.

Poczułem chłód na karku, jakby zniecka dotknęła mnie lodowata dłoń. Piękny park wydał mi się nagle przeraźliwie pusty i obcy.

- Co... co to jest sekta? - spytałem zdławionym głosem.

- Sekta to taka grupa ludzi, nie całkiem normalnych. Robią dziwne, a czasem złe rzeczy.

- I ta sekta gdzieś tu jest? W tym mieście?

- Niekoniecznie. To była tylko hipoteza tego dziennikarza, który napisał artykuł do gazety.

- Hipo co?

- Hipoteza. Czyli przypuszczenie, sugestia. Rozumiesz?

Skinąłem głową.

- To słuchaj dalej. Ten artykuł w gazecie niespecjalnie mnie zainteresował. Sam widzisz, choć był ciekawy i zawierał więcej niż ziarno prawdy, nie dało się z niego wyczarować nic pięknego. Przynajmniej ja nie potrafię. Więc pewnie bym o nim zapomniał, gdyby nie pewne zdarzenie...

Nadstawiłem uszu.

- Wybrałem się na poszukiwanie ptaków. Miałem ze sobą lornetkę, notes i kieszonkowy atlas ptaków. Szedłem skrajem lasu i spotkałem staruszka. Szedł z góry przez łąkę z koszykiem grzybów. Mijając mnie, powiedział: „Nie kręć się tu sam, bo porwie cię Mamuna”. I popatrzył na mnie tak, że aż mnie ciarki przeszły.

Mnie też przeszły. Poruszyłem nerwowo łopatkami.

- A co to jest Mamuna?

- No właśnie. Też nie wiedziałem, więc po powrocie do domu sprawdziłem w Internecie. Mamuna to taki... demon ze starych wierzeń słowiańskich. Najczęściej występował pod postacią kobiety, czasem młodej, innym razem starej wiedźmy. I porywał dzieci.

Z trudem przełknąłem ślinę przez ściśnięte gardło.

- Od razu wydało mi się to dziwne - ciągnął Marko. - Połączyłem fakty: w okolicy znikają dzieci, a ten staruszek mi mówi, że porwie mnie Mamuna.

- Myślisz, że to ten demon porywa dzieci?

- Raczej nie. Nie wierzę w demony. Choć z drugiej strony, to, że w coś nie wierzę, nie oznacza jeszcze, że to coś nie istnieje.

- Skoro nie wierzysz w demona, to kto porywa dzieci? Masz jakąś... hipotezę?

Rzucił okiem w stronę kawiarenki. Ja też rzuciłem: olbrzym nadal tam siedział. Kelnerka akurat przyniosła mu ciasto i kawę.

- Nie wiemy, czy ktoś je porywa - przypomniał Marko. - Wiemy tylko, że zniknęły.

- Dokąd trafia ktoś, kto zniknął? - spytałem prawie szeptem.

- Gdybyśmy to wiedzieli... No ale słuchaj dalej. Przeczytałem wszystko co znalazłem na temat Mamuny. Niewiele tego było, głównie zabobony... Mamuny nazywano też Dziwożonami, Czarcichami, Płazkami, Odmienicami, Siubielami... Nie pamiętam już wszystkich nazw, ale wszystkie sprawdziłem. Nie natknąłem się na nic, co naprowadziło by mnie na jakiś interesujący trop. Dopiero kiedy natknąłem się na informację, że Mamunę w pewnych regionach określano mianem Sibele...

- Tak? - Wstrzymałem oddech.

- Wpisałem w wyszukiwarke „Sibele”. Wskoczyło mnóstwo odnośników. Głównie profile osób z całego świata, o imieniu bądź nazwisku „Sibele”, ale też jakieś strony o pogodzie, firma produkująca sery i tego typu bezużyteczne informacje. Nie byłem w stanie się przez to wszystko przekopać, więc przerzuciłem się na grafikę. Tu było podobnie, ale jedno zdjęcie od razu rzuciło mi się w oczy.

- Jakie zdjęcie?

- Przedstawiało dom obok lasu. A rzuciło mi się w oczy, bo już widziałem ten dom.

- Gdzie? - Uniosłem brwi.

- Tutaj, w naszym mieście. Nad twoim osiedlem biegnie w górę, wzdłuż wzgórza, ulica Stokowa. Po obu jej stronach stoją domy. Niemal u szczytu ulica ostro skręca i wypuszcza odnogę: krótką gruntową drogę prowadzącą do lasu. Tam, przy samym lesie stoi ten dom. Nie można go pomylić z innym, bo jest bardzo charakterystyczny: cały zbudowany z jasnego drewna. Mijałem go czasem, kiedy włóczyłem się po okolicy w poszukiwaniu ptaków.

- Dlaczego kiedy wpisałeś „Sibele”, wyświetliło się zdjęcie tego domu? - zapytałem.

- No właśnie. - Marko uśmiechnął się z satysfakcją. - Nie powiedziałem ci najlepszego: Nad wejściem do tego domu wisi drewniany szyld, a na nim widnieje rzeźbiony napis: „SIBELE”.

- O rany... - Próbowałem jakoś poukładać sobie to wszystko w głowie. - Ale dlaczego porywacz miałby umieszczać na swoim domu informację, że jest porywaczem?

- Drogi Bilbo... - Marko pokręcił z politowaniem głową. - Jaka jest szansa, że ktokolwiek połączy ten szyld ze zniknięciami dzieci? Mało kto wie, co to jest Mamuna, a co dopiero Sibele...

- Ty połączyłeś - zauważyłem.

- Przez przypadek. To był wyjątkowy zbieg okoliczności. Jeśli ktoś w ogóle trafi w pobliże tego domu, to prędzej skojarzy szyld z serem. - Zaśmiał się pod nosem.

- A to zdjęcie w Internecie? Po co porywacz...

- Nie wiem - przerwał mi. - Zdjęcie prowadzi do strony, na której nic nie ma. Poza samym zdjęciem. I napisem: „strona w budowie”.

- O co tu chodzi? - Zmarszczyłem brwi. - Myślisz, że w tym domu mieszka porywacz? Albo ta... ta sekta? A może...

- Może co?

Ta myśl wydała mi się tak straszna, że słowa ledwo przeszły mi przez gardło.

- Może... te zaginione dzieci są uwięzione w tym domu?

Marko uniósł dłoń w uspokajającym geście.

- Trzymajmy się ziemi, Bilbo. Fakty są takie, że mamy dom z napisem „Sibele”, co nie musi oznaczać nic złego. Miałem zamiar wyciągnąć coś więcej z tego staruszka od Mamuny i nawet udało mi się dzisiaj na niego natknąć, ale zanim go zagadnąłem, zniknął w zaroślach jakby rozpląnął się w powietrzu.

- To dlatego pytałeś mnie koło bloku, czy nie widziałem przechodzącego starca - przypomniałem sobie.

- Właśnie. Masz świetną pamięć.

- I co dalej?

- Tutaj dochodzimy do tego jegomościa. - Kiwnął głową w stronę kawiarenki. - Człowiek Góra mieszka w domu z napisem „Sibele”.

Wypuściłem głośno powietrze.

- To dlatego go śledzisz! Ale może zamiast go śledzić... - Urwałem żeby zastanowić się nad tym, co właśnie wpadło mi do głowy.

- Co zamiast go śledzić? - Marko zawiesił na mnie wzrok.

- Może lepiej sprawdzić, co jest w tym domu?

- Sprawdzić. - Skinął głową. - Tak. Teraz, kiedy jest nas dwóch, to ma sens. Pytanie tylko, czy mi pomożesz?

Nie zastanawiałem się ani chwili.

- Jasne, że ci pomogę - powiedziałem.

*Idziemy z Marko do tajemniczego domu
i spotykamy Sibelegę*

- Wielkolud będzie teraz pił kawę i zażerał się ciastem - sapał Marko. Szliśmy stromą ulicą w górę, w kierunku gęstej czupryny lasu ciemniejącej nad wzgórzem. - To nam powinno dać trochę czasu. Rozejrzę się szybko po domu i zobaczę, czy jest tam coś podejrzanego, a ty będziesz stał na czatach i dasz mi znać, jeśli właściciel pojawi się na horyzoncie.

- Jak wejdiesz do środka?

- Coś wymyślę na miejscu.

Ciężko dysząc pokonaliśmy ostatnie metry dzielące nas od gruntowej drogi. Z niepokojem popatrzyłem na niebo; słońce chyliło się ku wzgórzom na zachodzie. Jeszcze godzina - półtorej i zrobi się ciemno. Wolałbym być wtedy gdzie indziej, najchętniej w swoim domu.

- A jeśli Wielkolud ma auto? - spytałem. - Wtedy może się tu zjawić w każdej chwili.

- Nie ma auta. Obserwuję go od kilku dni, wszędzie chodzi na piechotę.

Skinąłem głową. Zbliżyliśmy się do domu. Stał w cieniu drzew na skraju lasu. Poza niską podmurówką z kamieni faktycznie cały zrobiony był z drewnianych bali. Miał jedno piętro i werandę, na którą wchodziło się po schodkach. Nad drzwiami wisiała drewniana tablica. „SIBELE” - przeczytałem i przeszedł mnie dreszcz.

- Marko?

- Tak?

- Co to jest hobbit?

Roześmiał się.

- Hobbit to... taki ni to człowieczek, ni skrzat z powieści Tolkiena. Niski, niepozorny, ale bardzo utalentowany. A Bilbo był jednym z najdzielniejszych hobbitów, przemierzył pół świata i miał mnóstwo przygód, podczas których zdobył wielu przyjaciół i kupę skarbów. A potem szczęśliwie powrócił do domu.

- Tata nazywał mnie Pinokio - rzuciłem.

- Nie przypominasz mi Pinokia, bardziej Bilba. - Marko skinął na mnie głową. - Chodź, obejdzimy dom, może znajdziemy jakieś sekretne wejście.

Dla pewności sprawdziliśmy drzwi wejściowe, ale oczywiście były zamknięte. Obchodząc dom musieliśmy brnąć przez krzaki i wysoką trawę. Z tyłu, w podmurówce tuż nad ziemią znajdowały się dwa nieduże okienka, prawdopodobnie piwniczne. Jedno z nich okazało się niedomknięte.

- Mamy szczęście! - ucieszył się Marko. - Idź przed dom i stań gdzieś, gdzie będziesz widział dobrze ulicę. Tylko staraj się nie rzucać w oczy. Jeśli Człowiek-Góra się pojawi, biegnij tu ile sił w nogach i zawołaj mnie przez to okienko. Wszystko jasne?

- Tak. - Zadrzałem. - Nie boisz się?

- Już ci mówiłem: tylko głupcy nigdy się nie boją. Oczywiście, że się boję. Ale naprawdę odważny jest nie ten, co nie czuje strachu, tylko ten, kto potrafi pokonać własny strach. - Podszedł do okienka i zaczął wsuwać się w nie nogami do przodu. Patrzyłem na to ze zgrozą. Miałem wrażenie, że zaraz jakiś potwór ukryty w tej ciemnej piwnicy złapie go za nogę i zacznie wciągać do środka.

- Na co czekasz? - zasapał Marko. - Idź przed dom.

Zrobiłem to i znalazłem miejsce pomiędzy niskimi świerkami, gdzie byłem niewidoczny z drogi (przynajmniej taką miałem nadzieję) i jednocześnie mogłem obserwować ulicę. Ja też się bałem. Z każdą chwilą bardziej. Nie byłem pewien, czy potrafię pokonać strach tak jak Marko, ale z drugiej strony co miałem zrobić? Nie mogłem zostawić go teraz samego.

Żeby się uspokoić, zacząłem myśleć o tym, co lubię, czyli głównie o owadach. Pomyślałem o pchle, która potrafi skoczyć na odległość dwieście razy dłuższą niż wynosi jej długość, czyli na dystans dwóch metrów. To tak, jakby człowiek pokonał jednym susem trzysta pięćdziesiąt metrów. Gdybyśmy z Marko potrafili tak skakać, nie obawiałbym się powrotu Wielkoluda - po prostu w razie czego moglibyśmy uciec, przeskakując nad odnogą lasu, przy której stał jego dom. Albo gdybyśmy umieli biegać szybko jak karaluchy, które rozwijają prędkość równą niemal pięć i pół kilometra na godzinę, co w proporcji do wzrostu odpowiada człowiekowi przebiegającemu sto metrów w sekundę - wówczas żaden Wielkolud nie byłby mi straszny.

Ponieważ nie umiałem biegać jak karaluch ani skakać jak pchła, serce nadal tłukło mi się w piersiach jak szalone, aż do momentu, kiedy zobaczyłem niewielkiego chrząszcza, który przysiadł na łodydze jakiejś rośliny niemal u moich stóp. Przykucnąłem i przyjrzałem mu się uważnie. Z radością odkryłem, że nigdy dotąd takiego nie widziałem. Przyglądałem mu się nadal, aby zapamiętać jak najwięcej szczegółów, co powinno mi ułatwić znalezienie go w mojej książce, kiedy w końcu wrócę do domu.

Obserwowanie owada pozwoliło mi uspokoić nieco skołatane nerwy, ale za to zaniedbałem najważniejsze: przestałem obserwować ulicę i przegapiłem powrót Wielkoluda. Dostrzegłem go, kiedy stanąłem ponownie na równe nogi, ale wtedy był już jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia pięć metrów ode mnie. Aż mnie zmroziło na jego widok. Popędziłem co sił za dom i nachyliłem się ku piwnicznemu okienku.

- Marko!

Nie odpowiedział. Zawołałem jeszcze raz, trochę głośniejsze. Nic. Obejrzałem się nerwowo przez ramię. Nie widziałem z tego miejsca frontowej części domu, ale gospodarz musiał być już naprawdę blisko, może nawet otwierał właśnie drzwi. Nie namyślając się dłużej poszedłem w ślady Marko i wsunąłem się w okienko nogami do przodu.

Przez chwilę nogi dyndały mi w powietrzu. Nic nie widziałem i serce podeszło mi do gardła. Opuściłem się niżej na rękach - dalej nic, nie wyczuwałem podłogi. Zaryzykowałem i puściłem framugę. Niemal natychmiast moje stopy uderzyły o podłogę, upadłem na plecy. Wstałem roztrzęsiony. Wokoło było ciemno, tylko nieco wyżej, po przeciwnej stronie pomieszczenia zza uchylonych drzwi sączyło się światło wieczoru, ukazując fragment betonowych schodów, biegnących stromo w górę. Ruszyłem pośpiesznie w tamtym kierunku, potykając się w ciemnościach o jakieś graty. Wbiegłem po schodach i otwarłem szeroko drzwi. Znalazłem się w skąpo umeblowanym, dużym pomieszczeniu, w całości wykończonym drewnem. Z każdego kąta, a nawet ze ścian i z sufitu straszły rzeźby przedstawiające jakieś dziwne maszkarony: ni to ludzi, ni zwierzęta z ogromnym porożem na głowie, łuskowate stworzenia z wodorostami zamiast włosów, staruchę z jednym okiem na środku czoła, starca z siwą brodą do kolan, z gałęziami wyrastającymi z czaszki, jakąś wychudzoną wiedźmę w

kwiecistym wianku na głowie i z sierpem w dłoni i wiele, wiele innych. Pośrodku tego skupiska koszmarów stał Marko i przyglądał się im zadzierając głowę.

Dopadłem do niego i złapałem go za rękę.

- Marko! - syknąłem. - Wielkolud wrócił!

Dostrzegłem wyraz paniki na jego twarzy. W tym momencie od drzwi frontowych dobiegł nas szcęk klucza przekręcanego w zamku.

- Do piwnicy, biegiem! - Marko pociągnął mnie tam, skąd właśnie przyszedłem. Zawadzilem łokciem o jakąś półkę i straciłem na podłogę stertę kalendarzyków niewiele większych od pudełka zapalek. Padłem na kolana, szybko pozbierałem ile mogłem i byle jak odłożyłem na miejsce. Resztę wepchnąłem do kieszeni spodenek i wraz z Marko zbiegliśmy po schodach do piwnicy, gdzie przykucnęliśmy w ciemności za jakimś meblem.

Zza drzwi dobiegł nas słaby odgłos kroków. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Wielkolud był w domu. Czy zauważy, że kalendarzyki leżą w nieładzie, inaczej niż wcześniej?

Wezbrała we mnie panika i chyba wydałem z siebie coś jakby przeciągły pisk. Kroki stały się głośniejsze. Marko położył mi dłoń na ustach.

- Ciii!... Pomyśl o... o owadach.

Przyłożyłem dłonie do uszu i poszedłem za jego radą. Wymieniałem w myślach nazwy wszystkich owadów, które dzisiaj widziałem. Drzwi otworzyły się i do piwnicy wpadł jaskrawy snop elektrycznego światła, który zaraz przesłoniła zwalista sylwetka ludzka: Wielkolud stanął u szczytu schodów.

Myślałem teraz o tym nieznanym mi chrząszczu, którego zauważyłem przed domem. I wyobrażałem sobie, że jestem u siebie w pokoju, trzymam w ręku atlas owadów i przeglądam ilustracje. Sekundy dłużyły się jak minuty; czułem, że Marko drży. Wreszcie światło znikło. Wielkolud też zniknął i zamknął za sobą drzwi.

Odetchnęliśmy z ulgą.

- Co teraz? - spytałem gorączkowym szeptem.

- Zaczekamy chwilę - odparł Marko. - Potem pomyślimy co dalej.

Tak więc czekaliśmy. Po kilku minutach, kiedy upewniliśmy się, że z góry nie dochodzą żadne dźwięki świadczące o obecności Wielkoluda, Marko odważył się przyświecić telefonem. Aż wzdrygnąłem się, na widok dużej drewnianej figury, stojącej na podłodze niemal dokładnie naprzeciwko nas. Przedstawiała brzydką kobietę o złych oczach, trzymającą na rękach płaczące niemowlę. „Sibele” - głosił podpis wyrzeźbiony w drewnianym postumencie.

Nie musieliśmy nic mówić, tylko popatrzyliśmy z Marko po sobie.

W piwnicy były też inne rzeźby, niektóre chyba niedokończone, oraz mnóstwo dziwnych maszyn i narzędzi. Wszędzie po podłodze walały się wióry. Marzyłem o tym, żeby znaleźć się jak najdalej od tego miejsca.

Znowu usłyszeliśmy kroki. Marko zgasił telefon i ponownie skuliliśmy się ramię w ramię za jakimś regałem.

- Coś mnie dotknęło! W rękę! - Poczulem, że Marko się wzdrygnął.

- Ciii!... - Teraz to ja próbowałem go uspokoić. - To pewnie... to pewnie pająk. Albo karaluch.

- Karaluch. Super! - jęknął z nutą ironii.

Podjąłem próbę odwrócenia jego uwagi od niebezpieczeństwa.

- Wiesz, że karaluch może żyć bez głowy? Umiera dopiero po kilku dniach, bo nie może pić.

- Obrzydliwe! - wzdrygnął się ponownie. - Po co żyć bez głowy?

Zachichotałem mimowolnie.

Siedzieliśmy tak chwilę w ciemnościach, bojąc się poruszyć.
- Może zaczekamy aż Wielkolud pójdzie spać i wtedy spróbujemy się wymknąć? - zaproponował szeptem Marco. - Co ty na to?
- Nie wiem... Wolałbym wrócić do domu zanim mama wróci z pracy...
Na wspomnienie domu i mamy łzy napłynęły mi do oczu. Pośpiesznie wytarłem je dłonią.
- Mówiłeś, że napisałeś wiele różnych historii. - Pociągnąłem nosem. - Wiem, że nie masz ich przy sobie, ale może mógłbyś mi opowiedzieć jedną z nich?
- Teraz?
- Czemu nie?
Marco głośno wypuścił powietrze z płuc.
- Dobra. No to posłuchaj.

Marco opowiada

Ta historia wydarzyła się w Amders, mieście znajdującym się na samym końcu świata, w wysokich górach, z których nigdy nie znika śnieg. Dalej, za tymi górami jest już tylko Kraina Snów, pełna przepaści i zdradliwych rozpadlin, wiecznie zasnuta mgłą.

Mieszkańcy Amders nieustannie zajęci są wymyślaniem nowych wynalazków i słyną z tego na cały świat. Wymyślają co tylko się da: sznurowadła, które same się wiążą, nieparzące zapalki, samościelące się łóżka, lekarstwo na nudę i tak dalej. Ich miasto wciąż się rozrasta, a ponieważ ograniczają je górskie szczyty, rozrasta się głównie w górę, więc mnóstwo tam wind, ruchomych schodów i górskich kolejek.

Tylko dwie osoby w Amders nie zajmują się tworzeniem wynalazków. Pierwszą jest król. Król ma na głowie inne sprawy, musi rządzić, sądzić, organizować, planować i zupełnie nie ma czasu na wynajdywanie czegokolwiek. Ma oczywiście swoją świtę, ale nawet dworzanie w wolnym czasie tworzą własne wynalazki, a król nie. Drugą osobą jest Strażnik Snów. Mieszka w wysokiej wieży i pilnuje, by tylko dobre sny trafiały do świata ludzi. To bardzo odpowiedzialna praca, ponieważ Krainę Snów zamieszkuje wiele koszmarów, które chciałyby ludziom zatruć życie. Ale to również piękna praca, bo Strażnik śni każdy sen przekraczający granicę między światami, a tych snów jest bez liku i niektóre są naprawdę bajeczne.

Każdy mieszkaniec Amders chciałby objąć posadę Strażnika w wieży, więc co roku król organizuje konkurs na najlepszy wynalazek. Zwycięzca zostaje Strażnikiem Snów na jeden rok.

O zostaniu Strażnikiem Snów marzył również młodzieniec imieniem Jan, zwany Złotą Rączką. Jan nie był specjalnie dobrym wynalazcą. Zajmował się głównie pałacowym ogrodem, a swój przydomek zawdzięczał umiejętności naprawiania różnych rzeczy, które się popsęły: starych zegarów, ciekących kranów, rozstrojonych instrumentów, skrzypiących drzwi... No i oczywiście wynalazków wynalezionych przez innych mieszkańców Amders, jeśli zaszła taka potrzeba.

Jan od czasu do czasu konstruował rozmaite drobiazgi, ale wszystkie wydawały mu się nie dość dobre, by wygrać wielki konkurs. Pewnego dnia, kiedy siedział zniechęcony w swej pracowni, popatrzył na swoje dłonie i do głowy wpadł mu pewien pomysł. Rzucił się w wir pracy i przez kilka kolejnych dni ważył tajemnicze mikstury, coś tam dolewał, odlewał, destylował, filtrował, odmierzał i skraplał, na przemian skakał z radości i rwał włosy z głowy, aż wynalazł...

Mydło.

Mieszkańcy Amders potrafili tworzyć najwspanialsze rzeczy na świecie, a mimo to nie znali najzwyklejszego mydła, a ponieważ nieustannie pracowali nad nowymi wynalazkami, ciągle chodzili z brudnymi dłońmi. Próbowali najróżniejszych past, wywarów, kwiatowych wyciągów,

rozpuszczalników i wonnych eliksirów, szorowali się wodą z piaskiem, ale i tak mieli wiecznie niedomyte dłonie i brudne paznokcie.

Tak więc Jan zgłosił się do konkursu. Przybył na zamek, dzierżąc w rękach pakuneczek ze swoim mydłem i czekał na swoją kolej, żeby zaprezentować je zebrany. Jako pierwszy swój wynalazek przedstawił jeden z najstarszych mieszkańców Amder, niejaki Esta Nini. Wyszedł na środek i zademonstrował wszystkim dużego pręgowanego kocura.

- To kotkurzacz - oznajmił zebrany. - Jest miękki, ciepły i mruczy jak żywy, ale zamiast zbijać baki na kanapie, odżywia się kurzem. Nie trzeba go karmić, wystarczy co miesiąc naładować mu baterie i opróżnić żołądek... To znaczy pojemnik na kurz.

Przez tłum przeszedł szmer uznania.

- Wasze domy już zawsze będą lśnić czystością! A wy będziecie mieć jeszcze więcej czasu na tworzenie swoich wynalazków.

Esta Nini otrzymał duże oklaski. Król z uznaniem kiwał głową.

Później kolejni wynalazcy przedstawiali swoje wynalazki, a Jan z każdą chwilą bardziej się wstydził. Jego wynalazek nie robił dużego wrażenia, była to tylko niepozorna, szarzielonkawa kostka czegoś, co nie przypominało niczego innego. Dlatego Jan zaczął wątpić w sens prezentowania mydła przed tak szacownym gronem.

Kiedy już wszyscy poza nim pochwalili się tym, co przygotowali na konkurs, król zapytał, czy ktoś jeszcze ma coś do pokazania. Jan trząsł się z nerwów, ale pomyślał, że jeśli teraz nie zbierze się na odwagę, na kolejną szansę będzie musiał czekać aż rok. I na drżących nogach postąpił naprzód, przed oblicze króla, zdecydowany pokazać swój wynalazek. Wtedy jednak od wejścia poniósł się gromki głos:

- Jeszcze ja, królu, jeszcze ja!

Do sali tronowej wszedł tęgi jegomość, który przedstawił się jako Sławat Nimles, wynalazca z grodu zwanym Futurlandem. Pchał przed sobą wózek, na którym spoczywał pakunek niemal tak duży, jak jego właściciel.

Król wyraził powątpiewanie, czy ktoś z tak odległej krainy jest w stanie zbudować coś, co zadziwi mieszkańców Amder, uchodzących za najbardziej utalentowanych wynalazców na świecie. Wszak mówiło się nawet, że to bliskie sąsiedztwo Krainy Snów wpływa tak dobrze na wyobraźnię mieszczan. Ale w drodze wyjątku król wyraził zgodę, by niespodziewany gość wziął udział w konkursie.

Nimles rozpakował wynalazek i oczom zebranych ukazał się metalowy twór z beczułkowatym korpusem i giętkimi kończynami przypominającymi rury od odkurzacza. Głowa dziwoląga przywodziła na myśl czajnik z wylupiastymi oczyma i tarką do warzyw w miejscu ust.

- Cóż to za dziwo? - spytał zdumiony król.

- Robot - oznajmił z dumą gość.

- Co potrafi?

- Wszystko. - I kiedy tylko Nimles wypowiedział te słowa, robot nagle ożył i zaczął popisywać się przed zebrany: opowiadał dowcipy, podnosił ciężary, śpiewał i tańczył, rozprawiał o polityce i o pogodzie, prawil komplementy...

Mieszkańcy Amder byli nim oczarowani, a Sławat Nimles mówił:

- Potrafi wszystko to, co ja, a nawet więcej. I wciąż się uczy. Wyposażyłem go w sztuczną inteligencję i korpus z paneli słonecznych, dzięki czemu czerpie energię ze słonecznego światła i nigdy się nie męczy, bo czy słońce kiedykolwiek bywa zmęczone? Do tego wie wszystko o swoich mechanicznych wnętrznościach, sam sobie jest lekarzem i potrafi naprawić najdrobniejszą usterkę, dlatego będzie istniał wiecznie!

Dla zebranych stało się jasne, że to twórca robota zostanie zwycięzcą konkursu i nowym Strażnikiem Snów. Jednak Jan, na przekór losowi, postanowił zaprezentować swój wynalazek. Pomyślał, że nawet jeśli nie wygra, to przynajmniej z czystym sumieniem wróci do domu.

Obwieścił zatem swoją decyzję i wyszedł na środek. Odwinął zawiniątko i pokazał wszystkim mydło.

- Co to jest i do czego służy? - zapytał król. I Jan zaczął tłumaczyć, że dzięki tej niewielkiej kostce wszyscy w końcu będą mieć czyste dłonie. I nie tylko, bo mydłem można myć całe ciało.

Król zdecydował, że osobiście wypróbuje wynalazek Jana. Wziął mydło od ogrodnika i zaczął energicznie pocierać je rękami. Jednak nic się nie stało.

- Potrzebna jest woda! - pospieszył z wyjaśnieniem Jan.

Służący przyniósł miskę z wodą. Król zamoczył kostkę, po czym próbował namydlić dłonie. Śliskie mydło wymknęło mu się z rąk i poszybowało w górę, po czym spadło na głowę króla, strącając z niej koronę, odbiło się i wylądowało na posadzce. Król stracił równowagę, nastąpił na nie i runął na ziemię, potrącając lokaja, lokaj szambelana, szambelana marszałka, marszałek kanclerza, kanclerz gwardzistę i tak po kolei przewracali się wszyscy jak kostki domina, a sala tronowa trzęsła się od śmiechu zebranych mieszczan.

Król bardzo się rozgniewał. Nakazał mydło zakopać, a Jana wtrącić do lochu (dobrze, że nie na odwrót!). A Sławat Nimles został nowym Strażnikiem Snów.

W lochu Jan przechodził prawdziwe katusze. Jak wszystkich więźniów, za karę karmiono go wyłącznie niezdrowym jedzeniem, więc kiedy głód dawał mu się we znaki, zmuszony był jeść ociekające tłuszczem udźce wołowe, golonki, frytki smażone na głębokim oleju, pasztety, a na deser ciastka ze słodkim nadzieniem, lizaki, ptysie, kremówki i czekolady, a popijał to sokami tak gęstymi od cukru, że aż go mdliło. Rychło rozboleły go wszystkie zęby. Serce wyrывało mu się do warzyw, śnił o owocach. Na próżno. Jan czuł, że długo na takim wikcie nie pociągnie. Do tego celowo dostał wyjątkowo miękkie łóżko wyściełane okropnym puchowym materacem, w którym prawie tonął kiedy się nań kładł, przez co już po pierwszej nocy rozboleły go wszystkie kości. Zaczął więc rozmyślać, jakby tutaj uciec z tego miejsca kaźni.

Rozmyślał tak przez tydzień i nic nie wymyślił. Siódmego dnia rankiem do celi wszedł wąsaty strażnik, tym razem jednak, zamiast jak zawsze podsunąć więźniowi tacę z jedzeniem pod nos, uwolnił Jana z kajdan.

- Co się stało? - spytał uradowany Jan? - Król mnie ulaskawił?

- Król? - Strażnik rzucił nerwowe spojrzenie przez ramię, po czym ścisząc głos, syknął:

- Nie ma już króla.

- Jakże to?! - zdumiał się Jan.

- Cśśś! Ciszej, Janie, jeśli ci życie mile! Nie ma już starego Króla, jest nowy król. Samozwańczy władca zasiada na tronie. Lud drży ze strachu. Ciemne chmury zawisły nad Amder. I opowiedział Janowi co wydarzyło się przez te siedem dni.

Sławat Nimles rozpoczął pracę w wieży, a jego robot zamieszkał w królewskim pałacu, jako prawa ręka i faworyt króla. Jednak już po pierwszej nocy nowy Strażnik Snów straszliwie zaniemógł, choroba zwała go z nóg, bóleści nie dawały ani chwili wytchnienia i Nimles wylądował w szpitalnym łóżu. W tej sytuacji robot zaofiarował się jako jego zastępca.

- Robot został Strażnikiem Snów?! - wykrzyknął osłupiały Jan.

- To jeszcze nic, Janie - odparł strażnik słabym głosem, po czym podjął opowieść.

Wydawało się, że robot może być dobrym Strażnikiem - nie męczy się, nie zasypia, nie choruje. Ale coś złego weń wstąpiło, ledwie przeniósł się do wieży. Rankiem następnego dnia ogłosił, że sny nie są do niczego potrzebne. Ludzie powiadali, że robot nie potrafi śnić i stąd ten

jego wstręt do snów, że niby zazdrości, bo inni mogą a on nie. Może być w tym ziarno prawdy, gdyż okazuje się, że przeklęte dziwadło ma się za lepsze od swego stwórcy i całej ludzkiej rasy, a sny to coś, czego nie jest w stanie przeżyć, zrozumieć, ani się nauczyć. W każdym razie robot pilnuje teraz, by żaden sen nie przeniknął do świata ludzi. Mieszkańcy Amder przestali śnić, budzą się niewyspani, rozdrażnieni i brak im twórczego polotu z którego słynęli.

Jan uświadomił sobie, że faktycznie nie potrafi sobie przypomnieć, by ostatnio coś mu się przyśniło.

- Dlaczego król nie zastąpił robota innym Strażnikiem?

- Ależ próbował, Janie, próbował. Tutaj dochodzimy do sedna: Kiedy król podjął decyzję, by odebrać robotowi stanowisko w wieży, robot rozgniewał się na całego i sam ogłosił się królem. Ludzie złapali za broń, lecz przeklęte żelastwo wydaje się niezniszczalne, wszelki oręż kruszy się na nim jakby zrobiony był z krakersów. Zwolennicy prawowitego króla zostali rozbici w puch, a sam nasz pan władca z garstką wiernych ludzi ledwo uszedł z życiem i ukrywa się gdzieś w górach. Robot schwytał jego córkę, księżniczkę Labelle, więzi ją w piwnicy pod wieżą i obiecuje zwrócić wolność wyłącznie pod warunkiem, że nieszczęsne dziewczę zgodzi się zostać jego żoną.

- A co z Nimlesem? - zapytał wstrząśnięty Jan. - Może on mógłby coś zaradzić? W końcu to on sam stworzył tę kreaturę!

- Wciąż, złożony chorobą, leży w łóżu bóleści. Twierdzi, że robota nie da się zniszczyć. Biada nam, Janie, biada miastu Amder.

Zadumał się Jan głęboko, a strażnik biadolił dalej:

- Na mój rozum, Janie, Nimles ma rację. Robot wprawdzie odniósł w boju kilka obrażeń, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. Po bitwie odkręcił sobie nogę, pomajstrował w niej, naprawił i przykręcił z powrotem. Sam widziałem! Potem to samo zrobił z ręką. Następnie wyjął oko, przyłożył do niego palec, sypnęło iskrami i smród się rozszedł w powietrzu jakby się samo Piekło rozwarło, a tu masz: oko już naprawione i wkłada je z powrotem do oczodołu. Podobno bardzo o siebie dba i każdego dnia przegląda wszystkie swoje przeklęte bebechy, aby nie przegapić najdrobniejszej usterki.

- Dlaczego mnie uwolniłeś? - spytał Jan, któremu coś zaczęło świtać w głowie. - Czy to z rozkazu robota?

- Tak. - Strażnik skinął głową. - Kazał uwolnić wszystkich ludzi z lochów. Było was tutaj raptem trzech. Widzi mi się, że robota ma was za wrogów prawowitego króla, dlatego kazał was wypuścić.

Jan podziękował mu za informacje, opuścił podziemie i ruszył w stronę wieży. Na ulicach mijał milczących ludzi o przestraszonych oczach, którzy przemykali chyłkiem, albo chowali się w bramach i w cieniach markiz. Pokonał wysokie kręte schody wiodące stromo na szczyt wieży, gdzie pod owalną kopułą znajdowała się komnata Strażnika Snów.

- Kto tam?! - zaterkotał gniewnie robot, słysząc jego kroki.

Jan, z duszą na ramieniu, wkroczył ostrożnie do komnaty. Najwyraźniej zastał robota w trakcie przeglądu części, gdyż klapka w metalowym korpusie była otwarta i dało się ujrzeć mechaniczne trzewia maszyny - przeróżne trybiki, sprężynki, kabelki, pstryczki, dźwignie, tłoki, wahadła i mrugające diody.

- Jestem Jan, królewski ogrodnik - rzekł drżącym głosem. - Przychodzę złożyć ci hołd, robocie.

- Zwracaj się do mnie: Królu robocie! - zazgrzytała maszyna.

- Tak jest, królu robocie. Słyszałem o twojej zwycięskiej potyczce z armią starego króla. Wygląda na to, że nie da się ciebie pokonać.

- Oczywiście, że nie! Wy, ludzie, jesteście słabi, szybko się męczycie i potrzebujecie dużo czasu, żeby czegoś się nauczyć. Jestem pod każdym względem lepszy od was. Jestem silniejszy, mądrzejszy i do tego nieśmiertelny. Miasto Amder nie mogłoby mieć lepszego króla.

- A jednak stworzył cię człowiek - zauważył Jan.

- Owszem. - W głosie robota pojawiła się nutka gniewu, a oczy zapłonęły jak czerwone latarnie. - Ale już dawno przerosłem go pod każdym względem. Zdradzę ci nawet, że ta jego choroba, to moja sprawka. Musiałem pozbyć się go z wieży Strażnika Snów, więc dosypałem mu do kolacji sproszkowanej wilczej jagody.

- Och, to było bardzo sprytne posunięcie! - Jan poczuł dreszcz przerażenia, ale nie dał po sobie nic poznać. - A więc my, ludzie, mamy miękką skórę, ty zaś w jej miejsce twardey pancerz, tak?

- Tak. To dlatego moi wrogowie połamali sobie na mnie broń.

- My mamy żołądek, serce, płuca, a ty, królu robocie, stalowe trybiki?

- Zgadza się. Dlatego nie zaszkodzi mi wilcza jagoda.

- My mamy nasze mózgi pełne wad, ty zaś mózg elektoniczny, który nigdy o niczym nie zapomina?

- Cóż to za dziwne pytania?! - oburzył się robot. - Powiedziałem już, że jestem pod każdym względem lepszy od was. Jestem doskonały.

- To dlaczego nie potrafisz śnić? - spytał Jan.

Robot zaterkotał wściekle niczym gigantyczny budzik, oczy znów mu zamigotały, a z otworów po bokach głowy buchnęła para.

- Śmieszny człowieczku, obiecałeś mi hołd, a tymczasem próbujesz ze mnie szydzić? Życie ci zbrzydło?! - Zbliżył się do Jana sapiąc ze złością, aż pod ogrodnikiem ze strachu ugięły się nogi. - Sny nie są do niczego potrzebne! - Podeszedł tak blisko, że pewnie zetknęli by się nosami, gdyby robot miał nos. - A może jednak? ...

- Sam się przekonaj, królu robocie - wydusił Jan przez ściśnięte gardło. Przyniosłem podarek, który umożliwi ci zrozumienie, czym są sny.

Robot wyraźnie się uspokoił na te słowa.

- Dar? - Wrócił na swoje poprzednie miejsce, a Jan odsapnął z ulgą. - Co za dar?

Ogrodnik sięgnął do kieszeni i wyjął zapasową kostkę mydła, którą trzymał tam od dnia nieszczęsnego konkursu.

- Ach, to. - Robot lekceważąco machnął stalową dłonią. - Widziałem twój śmieszny konkursowy pokaz. Poza tym, że było zabawnie, to twoje mydło wydaje się być równie bezwartościowe co sny.

- Królu robocie, nie na darmo w Amder zwą mnie Złotą Rączką - rzekł Jan, starając się ukryć drżenie głosu. - Udoskonaliłem mój wynalazek tak, by wreszcie się do czegoś przydał. Jeśli przemyjesz nim oczy, otworzy się przed tobą Królestwo Snów.

- Doprawdy? - Robot zazgrzytał podejrzliwie. - A jak niby?

- Sny należą do świata magii. Ty, królu robocie, nie wierzysz w magię, ale kiedy użyjesz mojego magicznego mydła, przejrzysz na oczy i przekonasz się, że mówię prawdę.

- No dobra, co mi tam - prychnął z pogardą robot. - Jeśli mnie okłamałeś, resztę życia spędzisz w lochu.

- Stary król źle skorzystał z mydła, dlatego wydarzyło się nieszczęście - pouczył go Jan. - Nie należy trzymać mydła w dłoni, lecz trzeba wrzucić je do miski z wodą i zrobić dużo piany.

Robot wyjął spod łóżka cynową miskę i nalał do niej wody z kranu. Jan wrzucił kostkę do miski i rękoma spieniał wodę tak, że piana przelewała się przez brzegi.

- Teraz, królu robocie, wrzuć do miski oczy.

Robot sięgnął palcami do oczodołów i wyjął z nich oczy. Wyglądały jak dwie piłeczki.

Jan wstrzymał oddech.

- Nie myśl sobie, że jestem teraz ślepy! - rzekł groźnie robot. - Nadal wszystko widzę, choć trzymam oczy w dłoniach.

I zanurzył ręce wraz z oczami w misce z mydłem. A kiedy je wyjmował, ociekające pianą kulki wyślizgnęły się ze stalowych palców i ze stukotem potoczyły po podłodze.

- Ooooch! - zazgrzytał z wściekłością robot.

Jedno oko poturlało się pod ścianę i zatrzymało obok Jana, drugie zaś pod łóżko.

- Daj mi je natychmiast! - ryknął robot, ruszając w stronę ogrodnika. Miał jednak kłopoty z utrzymaniem równowagi, bo jednym okiem widział ścianę, a drugim fragment podłogi pod łóżkiem. Wpadł na drewnianą komodę, strącając z niej deszcz bibelotów. A Jan szybko schylił się i schował oko do kieszeni.

- Nie ujdiesz mi! - jazgotał robot, młóćąc stalowymi rękami powietrze. - Słyszę cię!

Ale Jan przezornie oddalił się na drugą stronę komnaty, stąpając cichutko na palcach. Potem wpełzł pod łóżko i także drugie oko robota schował do kieszeni.

- Zapłacisz mi za to! - warczał robot. Niczym lunatyk potykał się i obijał o ściany, aż w końcu wypadł przez okno i wrzeszcząc mechanicznym głosem zniknął na zawsze wśród mgieł Krainy Snów.

Morał z tej bajki taki, że pycha kroczy przed upadkiem.

Co było dalej? Prawowity król oczywiście wrócił na tron. Jana obwołano bohaterem Amder, w nagrodę za pokonanie robota został nowym Strażnikiem Snów. Ale prawdziwą nagrodą była dlań ręka księżniczki Labelli, ocalonej przed niecnymi zakusami maszyny.

Oczy robota umieszczono w słoju z formaliną. Do dziś stoją na specjalnym podeście w Muzeum Narodowym Amder, a przewodnik opowiada zwiedzającym historię o samonaprawiającym się robocie i o dzielnym ogrodniku Janie Złotej Rączce. Samego robota nigdy już nie widziano, choć czasem pojawiał się w snach. Takie sny kolejni Strażnicy Snów starannie odsiewali od pozostałych i odsyłali w głąb Krainy Snów.

Sławat Nimles wydobrzył. Kiedy już dowiedziano się, co było przyczyną jego choroby, medycy z Amder szybko stworzyli lekarstwo. Nimles już nigdy więcej nie próbował skonstruować robota, za to objął po Janie posadę królewskiego ogrodnika i zajął się produkcją ultranowoczesnych kosiarek do trawy.

Mydło stało się bardzo popularne i odtąd wszyscy mieszkańcy Amder zawsze już byli czystszy.

A kilka lat później, syn Jana i Labelli, Beljan, wymyślił bańki mydlane. Zaprezentował swój wynalazek na konkursie i został najmłodszym Strażnikiem Snów w historii Amder.

Wracam do domu

- Podobała ci się moja opowieść? - spytał szeptem Marko.

- Bardzo. Nie znam lepszej - odparłem zgodnie z prawdą. Dzięki niej na kilka chwil zapomniałem o tym, w jakim żalonym położeniu obaj się znaleźliśmy.

- Chodź, musimy stąd wyjść. - Marko wstał z podłogi. Poszedłem w jego ślady. - Ostrożnie, nie narób hałasu.

Przyświecił znowu telefonem. Omijając rozmaite przeszkody zagradzające drogę, dotarliśmy do okienka, przez które dostaliśmy się do piwnicy. Marko zrobił z dłoni koszyczek.

- Podosadzę cię. - Skinął na mnie głową.

- A ty? Jak wyjdiesz?

- Dam sobie radę. Jestem wyższy od ciebie.

Z jego pomocą udało mi się wypełznąć przez okienko. Na zewnątrz było już wyraźnie chłodniej niż wcześniej, słońce schowało się za wzgórzem i niebo mocno pociemniało, zapowiadając nadejście nocy.

Marko podskoczył i złapał za okienną framugę. Podałem mu rękę i wspólnymi siłami wydostaliśmy go z piwnicy. Odczekaliśmy chwilę żeby uspokoić oddech, po czym, przygłębienie do ziemi, jak Indianie zaczęliśmy skradać się w kierunku ulicy. Wyjrzeliliśmy zza bocznej ściany domu. Frontowa część była jasno oświetlona, wokół latarni wirowały w chaotycznym tańcu ćmy i inne nocne owady.

- Wielkolud siedzi na werandzie - szepnął Marko. - Pali fajkę.

- I co teraz? Zobacz nas, jak tylko ruszymy w stronę ulicy.

- Może pobiegniemy? Ulica opada stromo w dół, będzie łatwiej.

- Chcesz zaryzykować? - Pokręciłem głową z powątpiewaniem.

W tym momencie poczułem znajome śwędzenie w nosie. Popatrzyłem pod nogi i z przerażeniem odkryłem, że stoję po kolana w chwastach, które znam aż za dobrze.

Musiałem zrobić jakąś dziwną minę, bo Marko zrobił okrągłe oczy i zapytał:

- Bilbo? Co ci jest?

- Mam uczu... uczulenie na... - Tutaj kichnąłem, co w wieczornej ciszy zabrzmiało jak wystrzał z armaty. - Bylicę.

Na werandzie zaskrzypiał fotel i rozległ się stukot butów po drewnianej podłodze. Zza winkła wychyliła się znajoma sylwetka Wielkoluda. Patrzył w naszą stronę, ale chyba nas nie widział. Prawie całkiem się już ściemniło, do tego staliśmy w cieniu, a oczy Wielkoluda przyzwyczajone były do światła latarni.

- Jest tam kto? - Głos miał niski i przerażający, jak grzmot zwiastujący burzę. W nosie znowu mnie kręciło. Nie wytrzymałem i na oślep rzuciłem się do ucieczki przez zarośla, byle dalej od tej budzącej grozę postaci. Marko dotrzymywał mi kroku.

Oprzytomnieliśmy w głębi lasu. Nad drzewami świecił okrągły księżyc. Przez chwilę na przemian to kichałem, to sapałem, próbując złapać oddech. Marko też dyszał ciężko po tym niezaplanowanym sprincie.

Kiedy nieco ochłoneliśmy, uderzyła mnie panująca wokół cisza. Lubię ciszę, ale ta mi się nie podobała. Tworzyła nieprzyjemne połączenie z ciemnością. Las o tej porze wyglądał obco i nieprzyjaźnie, może przez to, że nie był zielony jak za dnia, tylko granatowo czarny z plamami zimnego księżycowego światła.

- No to... chodźmy - rzekł Marko jakoś tak niepewnie.

- Dobra, tylko w którą stronę?

Rozejrzeliśmy się na wszystkie strony, ale żadna nie wyglądała znajomo. Nad naszymi głowami coś zahukało, pewnie puchacz.

- Chodźmy gdziekolwiek - powiedział Marko.

Niemrawo ruszyliśmy przed siebie, potykając się w ciemnościach o wystające z ziemi korzenie i omszałe głązy. Marko znowu zaczął świecić telefonem.

- Jeszcze chwila i wyczerpie mi się bateria - mrucał pod nosem z niezadowoleniem.

- Może na podstawie położenia księżyca uda nam się ustalić, gdzie jest wschód - zaproponowałem. - Dopiero co wzeszedł, więc...

- Co nam to da? - przerwał mi Marko. - Wiesz, czy powinniśmy iść na wschód, czy, dajmy na to, na południe?

Nie wiedziałem.

Tualiśmy się tak przez kilkanaście minut, coraz bardziej przerażeni, kiedy nagle w pobliżu rozległo się szczekanie psa. Sądząc po głosie nie był to duży, groźny pies, więc jego ujadanie ucieszyło nas podwójnie.

- Psy raczej nie łążą nocą po lasach. - Marko wyraźnie się ożywił. - Tam musi być jakiś dom albo droga!

Ruszyliśmy w kierunku, z którego dobiegało szczekanie. Dosłownie po kilku sekundach zarośla się przerzedziły i wyszliśmy na ulicę biegnącą skrajem lasu. Pies faktycznie był niewielki, znajdował się kilka metrów od nas i wciąż szczekał w naszą stronę, ale mordka mu się śmiała i machał wesoło ogonem (o ile ogonem można machać wesoło bądź smutno).

- To chyba dalsza część ulicy Stokowej! - Marko uśmiechnął się z zadowoleniem. - Dobry piesek... - Urwał, bo zobaczył moją minę.

Nie wierzyłem własnym oczom.

- Co się stało, Bilbo?

- To ten pies - wyjąkałem. - Ten, który ukradł mi klucz.

- Jesteś pewien?

- Tak. Wciąż ma go na szyi.

Marko popatrzył na mnie z niedowierzaniem, po czym przeniósł spojrzenie na psa. Zwierzak istotnie miał na szyi niebieską tasiemkę, na której połyskiwał metalicznie niewielki, podłużny przedmiot.

Widząc, że szykuję się do skoku, Marko ostrzegawczo położył mi dłoń na ramieniu.

- Nie ruszaj się! - rzekł z naciskiem. - Jeśli się na niego rzucisz, ucieknij.

- Serio?

- Tak. Psy właśnie tak robią, zwłaszcza te małe.

- No to jak mam go złapać? - Rozłożyłem bezradnie dłonie.

Marko przykucnął i zaczął wabić psa. Cmokał, mówił do niego, nawet udawał, że częstuje go smakołykiem, choć miał w ręku tylko kamyk. Ale pies wyraźnie się wahał - to zbliżał się do nas, to odskakiwał nieufnie.

- Nazywa się Tofik! - przypomniałem sobie. - To znaczy, jeśli to...

Nie dokończyłem, bo pies usłyszawszy słowo „Tofik” podbiegł do mnie merdając ogonem i dał się schwytać.

- A niech to! - zawołałem rozczarowany. - To jednak jest nie mój klucz!

Pies miał na szyi niebieską obrozę z metalową przywieszką, na której wygrawerowano imię „Tofik”.

Trzymałem zwierzaka na rękach. Wiercił się strasznie, dotykał mnie mokrym nosem a nawet próbował polizać.

- Mówiłem ci, że jestem głupi - powiedziałem do Marko z goryczą.

- Nie jesteś głupi - odparł łagodnym tonem. - Jedne rzeczy lepiej ci wychodzą, inne gorzej, jak wszystkim. Musisz tylko uwierzyć w siebie. Jesteś mądrzejszy i twardszy niż myślisz.

- Twardszy?

Uśmiechnął się.

- No, w środku. Na zewnątrz wydajesz się miękki i słaby, ale w środku jesteś twardy. Przekonałem się o tym w domu Wielkoluda.

- Aha. - W końcu chyba zrozumiałem o czym mówi. - To odwrotnie niż owady. One mają szkielet zewnętrzny, więc z wierzchu są twarde, a w środku miękkie.

Marko uśmiechnął się pod nosem.

- Nie martw się, Bilbo. - Poklepał mnie pocieszająco po plecach. - To oznacza, że twój klucz prawdopodobnie jest na trawniku za blokiem. Znajdziemy go.

- No dobrze, a wiesz w którą stronę powinniśmy iść?
- To jasne, że w dół. Miasto leży w dolinie. Wypuść psa i ruszajmy.
Pokręciłem głową.
- Nie mogę go wypuścić. Należy do dziewczyny w niebieskiej sukience. Tej z placu zabaw. Była bardzo zmartwiona tym, że się zawieruszył. Na pewno się ucieszy, kiedy zwrócę jej Tofika.
- No dobrze - powiedział Marko. - Jeśli przechowasz go do jutra, to nie ma sprawy. Ale nie możesz go nieść na rękach. - Usiadł na skraju jezdni i wyjął z buta sznurówkę, po czym przywiązał ją do obroży Tofika. - Trzymaj, oto twoja smycz.
- A but nie spadnie ci z nogi? - zapytałem, kładąc psa na ziemi.
- Jeśli będę uważał, nie spadnie. Chyba że znowu będziemy przed kimś uciekać.
Ruszyliśmy w dół ulicy. Tofik dreptał przy mojej nodze i wyglądał na zadowolonego. Czasem przystawał żeby coś obwąchać. Nie mogłem przestać myśleć o tym, jaki był ciepły, jak wiercił mi się na rękach, jak biło jego małe serduszko. O jego uśmiechniętej mordce i poczciwych, wilgotnych oczach. Nagle poczułem, że kocham tego zwierzaka, choć znam go dopiero od paru chwil. Gdybym takiego miał, już nigdy nie czułbym się samotny. Ale potem przyszło mi na myśl, że dziewczyna w niebieskiej sukience, Zuzia, zna go dłużej ode mnie, więc pewnie kocha go jeszcze bardziej.
Wsadziłem wolną rękę do kieszeni i namacałem plik kalendarzyków z twardego tworzywa, które zabrałem z domu Wielkoluda. Wyjąłem jeden i w świetle mijanej latarni rzuciłem nań okiem. Z jednej strony wydrukowano kalendarz na cały rok. Z drugiej widniał ozdobny napis:

SIBELE MUZEUM KULTURY PRASŁOWIAŃSKIEJ

Pod spodem znajdowało się zdjęcie drewnianego domu, a na samym dole mniejszymi literami zapisano jego adres na ulicy Stokowej.
Przez moment nie docierało do mnie znaczenie tych słów. W końcu jednak wszystkie kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce w mojej głowie.
- Marko...
- Tak?
Podałem mu kalendarzyk, czy raczej wizytówkę. Patrzył na nią dobre kilka sekund z osłupiałym wyrazem twarzy. A potem spojrzeliśmy po sobie i jak na komendę wybuchnęliśmy śmiechem. Nie skomentowaliśmy tego ani jednym słowem. Bo któż chciałby dobrowolnie rozwodzić się nad taką gafą?
W miarę jak schodziliśmy ulicą niżej i niżej, pojawiało się coraz więcej domów, a w końcu również inne budynki. Było tu o wiele jaśniej, bo wszędzie świeciły latarnie i kolorowe neony. Tu i ówdzie spacerowali jeszcze ludzie, ale samochodów jeździło znacznie mniej niż za dnia, dzięki czemu miasto wydało mi się dużo bardziej przyjazne. Choć nadal nie miałem pojęcia gdzie dokładnie się znajduję, czułem, że wracam na stare śmieci.
Nagle coś przyszło mi do głowy.
- Która godzina? - spytałem.
Marko zerknął na telefon.
- Dwudziesta pierwsza trzydzieści. Dlaczego pytasz?
- Czy dworzec kolejowy jest daleko stąd?
- Niedaleko. Parę minut marszu. A co?

- Chciałbym, żebyś mnie tam zaprowadził, jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- Nie ma sprawy. A co z powrotem do domu?
- To może poczekać parę chwil. I tak już spędziłem poza domem znacznie więcej czasu, niż planowałem.

Tak więc poszliśmy na dworzec. Po drodze opowiedziałem Marko o Szczurze. I jakoś tak przy okazji streściłem mu przebieg całej mojej dzisiejszej wędrówki.

W hali dworcowej panował półmrok, tylko wysoko, prawie pod sufitem jarzyły się niebieskawym blaskiem ekrany z informacjami na temat kursów pociągów. Kasy były już zamknięte, nie dostrzegłem w pobliżu żywej duszy. Każdy krok postawiony na marmurowej posadzce niósł się donośnym echem, oddalał wolno i znikał jak odlatujący motyl. Szczur miał rację: w tym miejscu każdy dźwięk, nawet szept, przypominał dym rozwiewający się w powietrzu.

Wyszliśmy na peron. Szyny połyskiwały metalicznie w świetle lamp i znikwały daleko w ciemnościach. Prowadziły do miejsc, których pewnie nigdy nie zobaczę. O tym, że jest tam jakiś świat, świadczyły tylko czerwone i żółte światełka, małe kropki w oddali. Przypominały gwiazdy na niebie. Albo świetliki, takie owady.

Ujrzałem stojącego nieopodal Szczura. Pomachałem do niego, a on podszedł do nas, przywitał się z Marko i zamieniliśmy kilka słów. Ale zaraz potem na peron, stukając i sapiąc wtoczył się pociąg i Szczur pobiegł w kierunku lokomotywy, żeby zobaczyć się z tatą.

- Za kwadrans dziesiąta - powiedział Marko. - Chyba będziemy się zbierać, co? Mówiłeś, że twoja mama kończy pracę o dwudziestej drugiej.

Skinąłem głową. Drzwi w wagonach rozstały się z sykiem i na peron zaczęli wysiadać pasażerowie. Nie było ich wielu, dosłownie kilka osób. Policzyłem ich szybko, żeby być dokładnym. Starsza para z walizką na kółkach, to dwoje. Kolejna para, z dzieckiem - razem pięcioro. Nastolatka z plecakiem, sześcioro. I jeszcze...

Nie dowierzałam własnym oczom. Peron zawirował wokół mnie, zakręciło mi się w głowie.

- Tata?...

Wysoki mężczyzna z torbą na ramieniu drgnął i zatrzymał się, słysząc mój głos. Spojrzał na mnie i jego oczy zrobiły się wielkie jak piłeczki do ping ponga.

- Dawid?!

Rzuciliśmy się na siebie. Tata przykucnął, położył torbę na ziemi i objął mnie rękami. Miał nieogolone policzki i trochę drapał.

- Tata... - Oczy zaszyły mi łzami. - Gdzie byłeś?

Pociągnął nosem i przyciągnął mnie do siebie jeszcze mocniej.

- Wszędzie... - powiedział cicho. - Tylko nie tam, gdzie powinienem być.

Bez sensu. Moim zdaniem trzeba być zawsze tam, gdzie się powinno być. Ale z drugiej strony, jeśli się dobrze zastanowić, to ja dzisiaj też kilka razy znalazłem się w miejscu, w którym nie powinienem być. Chyba po prostu na tym polega gubienie się: Jest się nie tam, gdzie powinno.

Potem tata poznał się z Marko, który wyglądał na trochę smutnego. Pewnie myślał o swoim tacie, który walczy na wojnie. Ruszyliśmy w trójkę (a w zasadzie w czwórkę, licząc Tofika) w stronę osiedla, rozmawiając o różnych sprawach. Tata wypytywał mnie jak to możliwe, że jeszcze do niedawna w ogóle nie wychodziłem sam z domu, a teraz spaceruję sobie wieczorami jak gdyby nigdy nic. Opowiedziałem mu tyle, ile zdążyłem, ale tylko tak z grubszą; cała opowieść sprowadzała się do tego, że zgubiłem klucz i próbowałem go znaleźć. Tata powiedział, żebym się nie martwił, bo klucz na pewno się znajdzie.

Niedługo potem Marko pożegnał się z nami i poszedł do siebie do domu. Ale wcześniej umówiliśmy się, że jutro razem pójdziemy na plac zabaw oddać Tofika dziewczynie w niebieskiej sukience.

Kiedy dotarliśmy z tatą na miejsce, musiało być już po dwudziestej drugiej, bo przed klatką schodową stała mama. Wyglądała na bardzo wzburzoną. Rozmawiała z panią Midasową (czy jakoś tak), która próbowała ją uspokoić. Na nasz widok obie na moment zaniemówiły. A potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, zrobiło się straszne zamieszanie, Tofik szczekał, machał ogonem i kręcił się w kółko na smyczy.

W końcu jakoś to się uspokoiło. Zaskoczyło mnie, że mama w ogóle nie zdziwiła się na widok taty, ale wyjaśniła mi, że wiedziała wcześniej o jego przyjeździe, bo rozmawiali o tym przez telefon. Nie uprzedziła mnie, bo chciała, żebym miał niespodziankę.

No i niespodzianka była super! Ale nie mam pojęcia, skąd mama wiedziała, że będę na stacji kiedy przyjedzie pociąg. Dorośli są czasem niesamowici!

Zapytam ją o to później, ale najpierw muszę się przyznać, że zgubiłem klucz. Posmutniałem na tę myśl. Zawiodłem mamę. Przecież tyle razy mi powtarzała, żebym pilnował go jak oka w głowie...

Powiedziałem to na głos, a wtedy mama się roześmiała i zmierzwiła mi włosy na głowie.

- Nie zgubiłeś go - powiedziała. - Tylko zostawiłeś w zamku w drzwiach.

No i tyle, jeśli chodzi o klucz. Mówiłem, że jestem głupi!

Kiedy szliśmy po schodach do mieszkania poczułem nagle, że jestem straszliwie senny. A do tego głodny. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz coś jadłem. Zastanawiałem się, czy bardziej chce mi się jeść, czy spać. Cóż, mam prawo być zmęczony i głodny po tym, jak uratowałem świat, wydostałem się z pirackiej niewoli, zyskałem kilku przyjaciół i odnalazłem tatę. Nieźle jak na jeden dzień.

Nie wiem co będzie dalej, ale jedno jest pewne: jutro znowu wyjdę z domu. Bo jestem częścią tego wielkiego świata, tak jak owady, ptaki, Szczur, Marko, pan Julian, Szczербaty, Zuzia, Tofik i inni. Ten świat należy do mnie. A ja należę do niego.

KONIEC

13 październik 2022 (czwartek)